

D. E. FRIEDLEINA
BIBLIOTEKA PODRĘCZNIKÓW

Nr. 1.

B
WF
UW

7316

ACHILLES LORIA

SOCYOLOGIA

JEJ ZADANIA,

SZKOŁY I NAJNOWSZE POSTĘPY

Polaczone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PTF

U.7316



39007316000000



KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA

WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

1904

<http://rcin.org.pl>

~~No 668~~

Handwritten in red: 7.2.1010 = 1.10

D. E. FRIEDLEINA
BIBLIOTEKA PODRĘCZNIKÓW

Nr. 1. Loria A. Socyologia, jej zadania, szkoły i najnowsze postępy.

Nr. 2. Piasecki Eug. Dr. Zasady wychowania fizycznego z 21 rycinami.

Dalsze tomiki w druku.

Cena tomiku pojedynczego w trwałej oprawie kartonowej Kor. 1.



H-123044

SOCYOLOGIA

7316

7316

JEJ ZADANIA, SZKOŁY I NAJNOWSZE POSTĘPY

Wykłady wygłoszone w uniwersytecie w Padwie w r. 1900

PRZEZ

ACHILLESA LORIA

Z PRZEDMOWĄ AUTORA PRZEŁOŻYŁ

S. Go.



KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA

WARSZAWA—E. WENDE I SPÓŁKA

1904

SEMINARIUM SOCJOLOGICZNE
Uniwersytetu Warszawskiego

1936

Wzrost 42.



7316

Przedmowa do wydania polskiego.

Na początku wiekowego rozwoju wszystkich nauk spotykamy znaczną ilość sprzecznych i wrogich sobie wzajem doktryn, wśród których błędzą i dzielą się umysły. W walce teoretycznej, która w ten sposób powstaje, nie odnosi zrazu żadna z doktryn ostatecznego zwycięstwa; powoli dopiero zdobywa i utrzymuje jedna z teorii walczących przewagę nad innymi — aż wreszcie zwycięża wszystkie te teorie przeciwnie i zapanowawszy w końcu nad całym obszarem wiedzy, staje na czele ostatniej ewolucyi.

Otóż każdy, kto zaznajomił się choć trochę z obecnym stanem socjologii, choćby przejęty był nawet najbardziej optymistycznym, dla tej nowonarodzonej umiejętności en-

tuzyazmem, przyznać musi, że znajduje się ona jeszcze w pierwszej z powyżej wymienionych epok rozwoju. Widzimy bowiem, że rzeczywiście niezmierna ilość teoryi i szkół najróżnorodniejszych walczy o zwycięstwo, a żadna z nich nie może zdobyć nawet stanowczej nad innymi hegemonii. Czasami zdaje się, że pewien system socyologiczny już upada i zanika, albo, że inny lada chwila ogólne zdobędzie uznanie. A oto tymczasem system, który zdawał się chylić do upadku, niespodzianie powstaje — a ten, któremu tryumf zdawał się uśmiechał, nowe napotyka przeszkody i wątpliwości; w ten sposób budzi się znowu dawna i tylko zupełniejsza niż wprzód anarchia teoryi. Nigdy, w żadnym zakresie myśli ludzkiej nie zdołały współpracownictwo i wolność republikańska wrogich szkół tak dalece osłabić wewnętrznej wartości nauki, tak silnie wstrząsnąć jej podstawami, tak pozacierać granice, jak się to stało w socyologii, skutkiem niezgody szkół i dogmatów; doszło do tego, że chwilami wątpić się musi o naukowej wartości, o racyi bytu, prawdzie

i podstawach nowego zakresu teoretycznej wiedzy.

I zaprawdę nikt nie może myśleć o obecnym stanie socjologii bez pewnego uczucia niemocy i obawy na widok tego mnóstwa zatańców i walk, jakie rozgrywają się na arenie nowej nauki, utrzymując ją w bezustannym wrzeniu i ciągłej burzy. Daremno wzywać niespokojnym głosem jasnego promienia światła, by wpadł wpośród nie i złączył w harmonię tę moc niepewnych, w różne strony rozrzuconych błysków. Daremno pragnąć powiewu spokoju, któryby uciszył grzmącą burzę i otworzył przed umysłem ludzkim nową erę płodnej i spokojnej pracy. Tymczasem niepewność zda się przeciwnie wzmacniać z dniem każdym, a nadzieja filozoficznego uśmierzenia niezgód słabnie z każdą chwilą.

W tych rzeczywiście krytycznych warunkach, w jakich umysł współczesny wstępuje na to pole tak godne najszlachetniejszych jego rozmyślań, będzie szczególnie pożądaną objąć jednym jasnym spojrzeniem pewne najwybitniejsze punkty umysłowej orientacji, uwydatnić ich zasługi i błędy i oznajmić wre-

szcie, które z tych stanowisk, co się wzajem krzyżują i wypychają, zda się najprędzej dążyć do tryumfu. Ten obrachunek filozoficzny, który ma odważyć ściśle każdy system na szali krytyki i wybić na nim piętno jego względnej czy absolutnej wartości, położyć może ostatecznie kres owej krytycznej niepewności i stworzyć tę jedność teorii, która jest znamieniem nauki dojrzałej i opartej na silnych podstawach. Innemi słowy, jeśli chcemy dać socjologii stanowisko i miejsce w świecie zaszczytne, musimy z zastępu starających się o jej rękę, wybrać jednego, który ma nadać jej imię i zapewnić jej przyszłość. A wszyscy zapobiegliwi rodzice wiedzą dobrze, że jest to praca, której odkładać nie wolno, bo wszelka zwłoka może mieć następstwa bardzo przykre i niebezpieczne.

Oto zadanie, którego podjąłem się w tej książce; pragnie ona ująć w jeden obraz obecny stan najglówniejszych teorii socjologicznych oraz wykazać ich wartość i błędy. Szybkie i niezwykle powodzenie, oraz nadzwyczajna gorliwość, z jaką studyum to przełożone zostało na wiele obcych języków —

dowodzi, że odpowiada ono intensywnej potrzebie naszych czasów. Cieszę się, że do liczby przekładów przyłącza się oto nowy w języku polskim, a cieszę się tembardziej, że oddawna podziwiam już prace niektórych pisarzy polskich i przyklaskuję ich świetnym zapasom na niwie filozoficznej. Może ta skromna książka zdoła przyczynić się do rozszerzenia w dalszym ciągu znajomości tej nowej, a tyle na przyszłość obiecującej nauki, która pierwszej czy później ujmie berło wszystkich umiejętności moralnych i politycznych; może zdoła zdobyć dla niej nowych zwolenników w tym uzdolnionym narodzie, który z błyskami geniuszu francuskiego, kojarzy pomyślnie głębie germańskiego umysłu; może pobudzi nowych pracowników do walki o nieśmiertelne laury na tem polu myśli ludzkiej. Tej tylko zapłaty pragnę za mą sumienną pracę, z tem życzeniem i ojcowskim wzruszeniem żegnam te karty i nowym poruczam je losom.

Achille Loria.

Padwa, Styczeń 1903.

WYKŁAD PIERWSZY.

Z a d a n i e s o c y o l o g i i.

Socjologia jest nauką nowożytną i zasługuje dzisiaj w istocie na nazwę »nowej nauki«, nazwę, którą każde stulecie obdarza prądy budzące się w jego zaraniu, nazwę, którą określił w XVIII w. Giambettista Vico, filozofią historyi, a Dupont de Nemours ekonomią polityczną. Ale — choć wyda się to paradoksem — nie waham się dodać, że socjologia, będąc najmłodszą gałęzią nauk społecznych, jest równocześnie i najstarszą. Jak to jednak możliwe? Tłómaczy się to okolicznością łatwą do zrozumienia i jasną każdemu, kto tylko głębiej zastanowił się nad rozwojem myśli ludzkiej. Zjawia się tu w istocie bardzo prosta, a zasadnicza prawda: że oto człowiek z natury skłania się do encyklopedycznego uogólniania, a dopiero długi proces rozwojowy budzi w nim zamiłowanie do analizy i specjalizacji. Natura wydaje

encyklopedystów — kultura tworzy specjalistów. Aleksander Dumas, obdarzony subtelną jasnością myśli mógł powiedzieć, że specjalista jest krety-nem naszego nowożytnego wykształcenia, a poza tem nieco szorstkiem zdaniem kryje się niezaprze-czalna prawda, że człowiek obdarzony rozumem wyłania się nietknięty z łona natury, a dopiero powolna praca historyi stwarza mały, fragmenta-ryczny, drobnostkowy umysł człowieka cywilizo-wanego. Dlatego pierwsze objawy myśli w najró-żnorodniejszych gałęziach nie są drobnostkowe, lecz ogólne, nie rzucają światła tylko na jedną stronę zjawiska, albo tylko na jedno zjawisko, lecz obejmują całokształt zjawisk, które się prze-suwiają przed oczyma spostrzegającego. Dopiero w późniejszym okresie rozwoju ujawnia się ta powierzchowność i niedokładność, jakiej uniknąć nie zdoła podobna pierwotna, nie zmodyfikowana wszechstronność; wskutek tego poczyną się cier-pliwa specjalizacya, ograniczająca obszar rozlicz-nych badanych zjawisk nieledwie do kilku tylko, by mózdz wyniki badania poddać kilkakrotnej pil-nej analizie.

W ten sposób zyska myśl pod względem tre-ści to, co straciła pod względem zakresu i może zwycięsko rzucić światło na ukrytą, wewnętrzną budowę badanego zjawiska. Potem powtarza się ten proces kilkakrotnie na innych odosobnionych zjawiskach i w ten sposób można naturę i prze-bieg każdego z nich dokładnie określić. Ale wtedy,

skoro wszystkie poszczególne zjawiska zostały gruntownie zbadane, można przystąpić do syntetycznego studyum ich całokształtu, wtedy można od wieki trwającego różniczkowania przejść do całkowania, wtedy wreszcie można i musi się powrócić do pierwotnej, encyklopedycznej formy, już nie powierzchownej i nieświadomej, lecz metodycznej, naukowej, opartej na niezawodnych wynikach pozytywnego i doświadczalnego badania.

Oto wspaniała parabola, którą zatacza myśl ludzka; oto owo binomialne prawo, które ujawnia się przy tym, jak i każdym innym przejawie myśli i życia. Człowiek zaczyna jako encyklopedysta i mówi z dumą: *homo sum, humanum nihil a me alienum esse puto*; potem specjalizuje się znużony powierzchowną, a niepłodną wszechstronnością i wyjaśnia kolejno poszczególne elementy całokształtu zjawisk, wreszcie skoro tej pracy w pewnej mierze dokonał, skoro wszystkie poszczególne strony rzeczywistości gruntownie wyjaśnił, przystępuje do syntezy otrzymanych wyników, powraca do encyklopedyzmu, już nie impulsywnego, lecz głęboko obmyślanego, naukowego, encyklopedyzmu, który opiera się na najwyszukańszych metodach badania i ich zdobyczach w zakresie specjalnych nauk.

Dlatego właśnie w chwili, gdy poszczególne zjawiska gruntownie zanalizowane i do ostatnich przyczyn odniesione zostały, występują we wszystkich naukach owe świetlane, naukowe syntezy,

które myśl ludzką na najdalszych obszarach badania rewolucjonizują; słowem wielkie syntezy powstają właśnie wtedy gdy analiza poczyniła największe postępy. I jest to zupełnie naturalne, gdyż oba te logiczne procesy są w najgłębszej swej istocie ze sobą związane; tylko wtedy, skoro się wniknie w najbardziej drobnostkowe zjawiska, można wszystkie przejawy materii ująć i zamknąć w jedną jednolitą formułę. A najjaskrawszem tego wszystkiego świadectwem jest ta paraboliczna krzywa, którą w swem rozwoju zatoczyła socyologia. W zaraniu poznawczych dążeń umysłu ludzkiego nie zajmowali się myśliciele w studyach nad zjawiskami społecznymi, tem lub owem zjawiskiem, nie ograniczali się do zbadania np. strony prawniczej albo politycznej lub też religijnej życia społecznego, lecz ujmowali to życie w całość kształcie, badali jego naturę i prawa, innemi słowy, myśliciele starożytni, którzy zastanawiali się nad przejawami życia całej ludzkości, byli socyologami, tworzyli nieświadomie socyologię, podobnie jak ów Moliérowski Jourdain, który nie wiedział, że mówi prozą. Dzieła Platona i Arystotelesa, tych dwóch nauczycieli rodu ludzkiego, noszą nazwę traktatów o polityce, ale w istocie są to najczystsze rozprawy socyologiczne; wszystkie bowiem one obejmują lub ujmują najróżnorodniejsze przejawy życia społecznego; wszystkie omawiają ze stanowiska obiektywnego zarówno kwestye prawnicze, gospodarskie, etyczne, polityczne

i inne, wszystkie usiłują w stylu jasnym i wymownym wyświecić ich wzajemne wpływy i najbardziej zawikłane związki. Mimo to, łatwo pojąć, że socyologiczna synteza w starożytności była powierzchowna, czasem dziecinna, zbyt odpowiadała tej epoce, w której według słów Macaulay'a przed filozofią faktyczną panowała filozofia słów. Dlatego nie wahał się badacz i myśliciel uznać za konieczne zejść z próżnej i bezowocnej ogólnikowości na pole drobnostkowej i cierpliwej analizy poszczególnych zjawisk społecznych. I oto już w starożytnym Rzymie stoją przed nami nie encyklopedyści, badający budowę i prawa społeczeństwa ludzkiego, lecz napotykamy raczej całą masę specjalistów, zgłębiających jeden jedyny objaw społeczny: prawo. Podobnie widzimy w wiekach średnich specjalistów, którzy z niezmierną, drobnostkową sumiennością badają ten lub ów przejaw społecznego życia: są to teologowie, kazuiści i inni. W taki sposób, w podatnych, symetrycznych kształtach greckiego filozofa wyłobila powolna praca historyi kańciaste, rachityczne linie łacińskiego prawnika i średniowiecznego glossatora. W epoce odrodzenia, tej jutrzni absolutnego władztwa i centralistycznej formy rządu, wystąpili na arenę politycy, szukając z mniejszem lub większem powodzeniem ogólnych reguł dobrego rządzenia, a obok nich rozwijali się świetnie historycy i badali wielkie, ściśle określone prawa polityki. Kiedy potem, pod dotknięciem czarodziej-

skiej różdżki kapitału, zjawiły się wielkie centra fabryczne w pustej aureoli blasku, nędzy i głodu — zbudziła się ekonomia polityczna z tem zadaniem, by badać prawa powstania i rozdziału bogactw. Rozwój handlu powołał do życia prawo handlowe, wzrastająca liczba zbrodni, tej zatrutej rośliny, wyrosłej na gruncie naszej nowożytnej kapitalistycznej kultury, podniosła prawo karne na piedestał ważnej nauki; naukowemu badaniu ludności i metodycznemu opracowaniu jej stanu i jej ruchów zawdzięcza statystyka swoje istnienie itd. I tak kolejno stawały się przedmiotem metodycznego badania poszczególne strony życia społecznego, aż się udało wtargnąć w najgłębsze tajniki jego budowy, aż zdołano wyjaśnić tajemną drogę jego rozwoju. Ale te różnorodne w powyżej wspomniany sposób, przez analizę poszczególnych zjawisk społecznych powstające umiejętności, rozwijały się niezależnie od siebie, i jedna o drugiej omal że nie wiedziała.

Prawda, że nudne podręczniki do poszczególnych gałęzi wiedzy nie pomijają nigdy rozdziału o wzajemnym stosunku różnych nauk do siebie, ale te scholastyczne ćwiczenia, obliczone jedynie na zachwyty kandydatów do egzaminu, dają bardzo słabe wyobrażenie o tym organicznym związku, jaki spleta w jednolitą całość różne nauki społeczne, oraz omawiane przez nie zjawiska. Istnieje jeszcze t. z. filozofia prawa, która pragnie ni mniej, ni więcej, jak tylko wyprowadzić z do-

gmaticznego jednolitego pierwiastka wszystkie gałęzie wiedzy prawniczej; ale pominiemy już nawet fragmentaryczny charakter podobnego zjednoczenia, to jednak przecie jasne, że doktryna, która podjęła się zadania takiego, jak zjednoczenie odrębnych gałęzi nauki prawa, była niczem więcej, jak tylko pustą metafizyką, wyprowadzoną z dowolnych zasad, metafizyką, która nie miała pojęcia o najelementarniejszych wymogach pozytywnej metody. Co się wreszcie tyczy innych społecznych nauk, to nie uczuwały one najmniejszej potrzeby syntezy, któraby je złączyła, i ograniczały się do opisywania poszczególnych związków społecznych z jednej strony, a filozofii tych związków z drugiej strony; w ten sposób istnieć mogły obok siebie historia i filozofia historyi, geografia i filozofia geografii, ekonomia i filozofia ekonomii i t. p. a pierwsze z nich były równie oklepane i empiryczne, jak drugie puste i zabawne.

Tymczasem im dalej postępowała praca specjalna, im więcej nagromadzało się faktów, stanowiących materiał, którym posługiwać się mogła sztuka specjalistów, tem żywiej odczuwać się dawała konieczność zbudowania drogi głównej, wiążącej te wszystkie oddzielne pola badania. Innemi słowy — postępy badań analitycznych same przez się wywołały w pewnej chwili konieczność syntetycznej pracy. Taką to drogą musiano w końcu od poszczególnych kwestyi socyalnych: prawa,

etyki, polityki, nauki, statystyki — powrócić znowu do umiejętności o społeczeństwie w jego najwszechstronniejszych przejawach, musiano znowu wznieść się na stanowisko ogólnej socjologii. W ten sposób zmartwychwstała syntetyczna nauka Arystotelesa i Platona, teraz po wiekach zjawiała się znowu, ale jakże różna od tamtej pierwotnej! Nie jest to już nauka ozdobna a martwa, pełna frazesów w pięknym stylu, w jakim nam ci krasomówcy ją podali, lecz wiedza oparta na faktach i liczbach, uzbrojona w pełny rynsztunek rozumowania i obserwacyi, wzbogacona niezliczoną liczbą pozytywnych wyników, do jakich w owym stuletnim pochodzie doszły poszczególne gałęzie wiedzy.

I owa upragniona jedność nie jest już abstrakcyjna i metafizyczna, jak tamta, którą niby starożytna nauka dawać miała, lecz jest konkretna i pozytywna; ona nie zstępuje z góry, lecz wydobywa się z głębi, nie polega na dowolnem wyprowadzeniu z pewnej idei, lecz na mozolnym dowodzie z faktów. Chodzi więc już w istocie nie o to, aby różnorodne zjawiska socyalne ująć w jednym wiecznym, nadzmysłowym pierwiastku — całe zadanie zawiera się w tem, aby odkryć jednolitą komórkę, z której wywodzą się te wszystkie zjawiska społeczne, znaleźć zjawisko najprostsze, pierwotne i jednolite, zjawisko takie, którego rozwojem i dalszem udoskonaleniem byłyby wszystkie różnorodne przejawy społecznego życia

i wreszcie wszystkie te przejawy sprowadzić do jednej myśli zasadniczej.

Wykryć tę komórkę, zbadać proces wyłaniania się z niej różnych zjawisk socyalnych, wnikać w ich organiczne związki, polegające na wzajemnem powinowactwie lub pierwotnej identyczności i wreszcie z budowy i przeobrażeń samej komórki wyprowadzić budowę i przemiany organizmu społecznego, będącego tylko wytworem tej ostatniej — oto funkcya, oto cel socyologii. Socyologia, w swej nowożytnej szacie jest przeto nauką dążącą do wnikięcia w jednolite źródło rozlicznych zjawisk socyalnych, w ich wzajemne połączenie, w ich budowę, oraz całkowity rozwój, pragnie ona zbadać statykę i dynamikę społeczeństwa, określić warunki jego życia, wyświecić fazy, które przechodziło i ich charakterystyczne momenty, wykryć prawa ich następstwa, oraz wyznaczyć drogę dalszego rozwoju.

Każdy zrozumie, że ostateczne zadanie socyologii jest daleko wyższe, niż to, które sobie dotychczas poszczególne nauki społeczne zakresliły, jest ono tego rodzaju, że na pierwszy rzut oka przewyższać się zdaje siły nie tylko jednego człowieka, ale całego lub nawet kilku pokoleń. Ostateczne zresztą ugruntowanie tej dziś w zarodku dopiero będącej nauki będzie dziełem nie jednego człowieka, ani nawet kilku generacyj; że zaś nauka ta przedstawia tyle trudu i mozółu, że wymaga, by całe tłumy badaczy nad nią pracowały — to

bynajmniej nie jest dowodem, iż nie jest do uskutecznienia; owszem, ponieważ jest nieprzepartą potrzebą naszego czasu, ponieważ brak jej dotkliwie daje się odczuć w naszej kulturze, ponieważ zatem nie można jej uniknąć, przeto musi się dać dokonać, musi istnieć i tryumfować. Prawda, że młoda ta nauka nie znalazła jeszcze swego Newtona i Keplera, lecz oni zjawią się wkrótce i można z góry powiedzieć, że ostateczne podłożenie fundamentów pod gmach socjologii będzie chlubą w. XX, podobnie jak ekonomia była chlubą w. XIX, a polityka zaszczytną zasługą XVIII stulecia.

Charakter, natura i treść nowej nauki wystąpią w znacznie jaśniejszem świetle, skoro przejdziemy trzy wielkie szkoły, które kolejno obejmowały w niej panowanie i nadawały kierunek oraz piętno socjologicznym badaniom — jest to szkoła intelektualna Augusta Comta, biologiczna Herberta Spencera i ekonomiczna, czyli t. z. Marksowska. Zanim jednak zajmiemy się tem studjum, musimy usunąć pewne mylne przekonania, które pokutują jeszcze po dziś dzień w charakterze i pod zaszczytną nazwą socjologii.

Niektórzy sądzą, że socjologia identyfikuje się z filozofią historyi, że jest też dlatego tylko naddatkiem naukowym, powtarza tylko zbytecznie i bezowocnie drogę już istniejącej gałęzi wiedzy. Lecz sąd to mylny. Nowa ta nauka różni się od filozofii historyi przede wszystkim tem, że ta ostatnia bada społeczeństwo w ruchu, a socjologia

zajmuje się wogóle analizą urządzeń społecznych, tak w ruchu, jak i w spoczynku. Nie ulega wątpliwości, że socyologia kładzie dziś większy nacisk na element dynamiczny, niż na statyczny, odkąd podstawowym dogmatem, na którym opierają się najgłębsze badania jej przedstawicieli stała się teoria rozwoju. Ale jest to tylko przypadkowy stan dzisiejszych badań, albo właściwości pisarzy, którzy dziś właśnie mają przewagę, nie jest to jednak wcale cecha charakterystyczna nowej nauki, bo dogmaty jej dałyby się w zupełności zastosować do hypotetycznego, w spoczynku będącego społeczeństwa. Nadto różni się socyologia od filozofii historii jeszcze tem, że nie zajmuje się ona wyłącznie faktami historycznymi, lecz obchodzą ją także kwestye statystyczne, etyczne, prawnicze, wogóle wszystkie fundamentalne zjawiska społecznego życia ludzkości. Dalej: filozofia historii sądzi, że ujęła w jednolitą całość zbadane fakty, skoro je złączyła pod sztandarem jakiegoś abstrakcyjnego, metafizycznego, nadprzyrodzonego pierwiastka; socyologia natomiast nie posługuje się żadnym takim elementem, nie zawiera w sobie nic apriorycznego, ani dowolnego, a jeśli jednoczy poszczególne zjawiska socyalne, to zjednoczenie to nie polega na podporządkowaniu pod pewną ideę, lecz zawiera się w fakcie lub w całym szeregu widocznych, należycie zbadanych i stwierdzonych faktów.

Trudniej jeszcze zgodzić się z tymi, którzy

sądzą, że socyologia zastępuje miejsce dawnej filozofii prawa, będąc — że się tak wyrażę — jej spadkobierczynią. Zdanie to ma rzeczywiście bardzo poważne poparcie ze strony naszego sławnego Ardigò, który definiuje soyologię, jako naukę o naturalnem ukształtowaniu sprawiedliwości, albo prawa wogóle. Ale nauka o naturalnem kształtowaniu się prawa jest zdaniem naszym częścią zadania, któremu poświęca się socyologia, a które zawiera w sobie analizę wszystkich najróżnorodniejszych przejawów społecznego życia. Dlatego można i musi się naprawdę powiedzieć, że socyologia zastępuje zarówno filozofię prawa, jak i filozofię historyi, ponieważ daje to wszystko, a nawet więcej niż tamte przyrzekały; to samo powiedzieć można o filozofii geografii, filozofii ekonomii i t. p. naukach dziś obumarłych już, których miejsce zajmie bezwątpienia nowa gałąź wiedzy. Można by więc w pewnej mierze sądzić, że socyologia wydała wyrok śmierci dla tych wyżej wspomnianych nauk; jeśli jednak zechcemy wyrazić się ściśle, to powiemy, że one już dawniej pomarły, a socyologia omal nie zapóźno śmierć ich stwierdziła.

Niemniej nieuzasadniona jest objawiająca się z różnych stron obawa, że socyologia knuje zamach na zakresy poszczególnych nauk społecznych, albo że zdławi je w swych olbrzymich ramionach. Już Comte właściwie zwrócił na to uwagę, że obok nauk zajmujących się oddzielnymi grupami

podobnych zjawisk, jest jeszcze miejsce na takie nauki, które pragną odkrycia uczonych z różnych gałęzi ułożyć i usystematyzować. Teraz ma socjologia takie właściwie zadanie: ona usystematyzuje i ułoży wyniki różnych nauk społecznych przez to, że sprowadzi je do wspólnego mianownika, że wyjaśni konieczność ich pochodzenia z pewnej jednolitej grupy przyczyn lub zjawisk wytwórczych. A podobne porządkowanie nie tylko nie narusza samodzielności specjalnych nauk, badających poszczególne fakty społeczne, lecz owszem istnienie tych gałęzi przyjmuje za założenie, na którym się opiera. Najzupełniej błędne jest zatem przekonanie, które też pierwszy Comte wygłosił, jakoby ekonomia polityczna miała wejść w skład nowej nauki i w niej się rozpląnąć, ponieważ ta ostatnia ma się do pierwszej, jak wynik do jednej z przesłanek, i ani zastąpić, ani zniszczyć jej nie zdoła. Zupełnie natomiast pewne jest, że każda z poszczególnych nauk społecznych, choćby się one nawet z ugruntowaniem socjologii powoli zmieniły, każda z nich jednak zachowa rację swego bytu i własną nieuszczerploną sferę działania.

Nie koniec na tem: Socjologia nie tylko nie krępuje poszczególnych nauk społecznych, lecz ożywia je jeszcze, zapładnia, rozszerza, używa im niejako świeżej atmosfery, podnosi je na stopień wyższej syntezy. Ona bowiem bada tę lymfę, która przepływa przez żywy organizm społeczeństwa i odżywia wszystkie jego członki, ona zatem

odkrywa tajemną przyczynę, odżywcze źródło nieustannego rozwoju, nieustannej zmiany; a ponieważ z natury swej porusza wyniki wszystkich poszczególnych nauk społecznych, jest przeto wstępem do nich i nieocenionem narzędziem badawczym. I oto pod magicznem technieniem nowej socyologicznej syntezy, nauki specjalne powstają z kamiennego snu, pełne nowych sił do pracy. Historia przestaje być monotonna kroniką czynów wojskowych i dynastycznych, a stara się dać metodyczny obraz zmian i rozwoju człowieka. Prawo porzuca starą, metodyczną i drobnostkową formalistykę a podnosi się na stanowisko głębszej analizy stosunków pomiędzy jednostkami a klasami.

Ekonomia polityczna staje się ekonomią socyjalną, ożywia się przez zetknięcie z płodną doktryną rozwoju i rozpoczyna pomyślnie morfologiczne badanie historycznego przebiegu stosunku własności do pracy *). Prawo karne nie jest już strasznem widmem zniszczenia i zemsty, pożądanym męki i śmierci grzesznika, lecz staje się piękną teorią łagodności i przebaczenia, teorią, która występuje rozumie i lituje się nad nim, jako nad koniecznym wynikiem nieszczęsnych skłonności. Niema wogóle gałęzi wiedzy, odnoszącej się do jednej ze stron społecznego wielościanu, któraby nie odniosła niezmiernej korzyści i nie do-

*) W tym względzie dalsze wyjaśnienia w mojej książce: »La costituzione economica hodierna. — Toroni«, Bocca 1899.

znała daleko idącej pobudki ze strony tej nowej, jednolitej umiejętności; nauka ta, jak pięknie wyraził się Vanni, dąży nie tylko do tego, by stać się punktem zbieżnym wszystkich socyalnych umiejętności, lecz chce zarazem stanowić ich korzeń i wspólną podstawę; z jednej więc strony umiejętność syntetyczna i porządkująca, z drugiej — nauka, której zadaniem zapładniać i wskazywać drogę.

Żaden myślący człowiek nie będzie wątpił, że socyologii daleko jeszcze do tego ideału. Nowej umiejętności pozostaje długa jeszcze do przebycia droga, zanim osiągnie dostateczną dokładność metody, ścisłość teoryi i precyzyę praw, t. j. cechy wymagane od każdej nauki prawdziwej, godnej tego miana. Ale chociaż wszystko to uznaję, uważać muszę za przesadzone i nierozsądne wszelkie powątpiewania i niedowierzania, które tłocząc się dookoła nowonarodzonej umiejętności, przeszkadzają jej w stawianiu pierwszych kroków na stromej ścieżce do poznania prawdy.

Niektórzy wyrażają wątpiwości co do powagi nowej nauki. Ja sam przed 20 laty wyraziłem się w uniesieniu w sposób niezbyt zaszczytny dla naszej umiejętności. A dziś wędrować muszę do Kanny i odwoływać moje dawne słowa dlatego, że odnosiły się do podrzędniejszych publikacyi — a nie tyczyły się dzieł wielkich mistrzów, dla których żywię zawsze bezwzględny szacunek; nadto skierowane one były do wówczas panującej so-

cyologii o podstawach biologicznych, a nie dotyczyły się i tyczyć się nie mogły nowej metody socyologicznej, która postępuje zawsze solidniej, bo opiera się na niezachwianej podstawie ekonomicznej analizy. Podniesiono jednak przeciw socyologii zarzut poważniejszy. Nie dosięgła ona — mówią — tej granicy prawdy, co do której zgodziliby się różni pisarze; przeciwnie, socyologowie rozbici są bezustannie w całą masę wrogich szkół; to też decentralizacya dochodzi w nauce tej niemal do indywidualizmu, tak, że możnaby słusznie powiedzieć, że umiejętność ta obrała sobie literalnie za motto to klasyczne zdanie: *quot capita, tot sententiae*. Właściwie jednak możnaby tę samą skargę z tem samym umotywowaniem obarczyć wiele innych nauk, o których znaczeniu i powadze niktby stanowczo nie ośmielił się wątpić. Przecie i w ekonomii politycznej np. różnią się znacznie przekonania autorów, są one nawet niekiedy wręcz sobie przeciwne; i tak: konserwatyści walczą tu ze socyalistami, obrońcy wolnej konkurencyi — i zwolennicy ceł ochronnych stanowią wrogie sobie partye, monometaliści i bimetalisci toczą zacięty bój. W prawie karnem walczy szkoła klasyczna z pozytywną. Na polu nauk przyrodniczych spór jest nie mniej gwałtowny. W biologii np. są Lamarck, Darwin, Weismann, Naegeli, Roux, Cope zwolennikami kilku pod wielu względami różnych i wręcz sobie przeciwnych doktryn. Dalej: schizma wdziera się w końcu i do mate-

matyki, gdzie nieeuklidesowa geometrya (oparta na wyłączeniu znanego twierdzenia, że suma trzech kątów w trójkącie równa się dwom prostym) zagraża z wyrastającym powodzeniem twierdzeniom Euklidesa.

A przecie nikt nie będzie uważał tych wewnętrznych sporów za dowód braku żywotności odnośnych nauk. Przeciwnie, spory te są właśnie najniezawodniejszym symptomem życia, wykazującego swe istnienie nowym przejawem myśli; właśnie tylko umiejętności przestarzałe popadają na schyłku swego istnienia w zupełną jednomyślność, w której niema odmiennych punktów widzenia i nowych idei. Ale biada — gdy nauki mogą zasnąć na owych wieżycach milczenia, co wznoszą się wśród pustynnych równin indyjskich i dźwigają trupy na żer krukom i sępom oddane. Biada — gdy umiejętności zmieniają się w cmentarzyska myśli, na których bieleją tylko nagie szkielety dogmatów, obgryzane wśród ciszy głębokiej przez kilku bezsilnych krytyków — glosatorów.

Istnieje zdanie, że socyologii brak rzetelnych podstaw, że jest tylko niedojrzałym uogólnianiem; niektórzy wreszcie wyrażają się szyderczo o tych nowych encyklopedystach, mówiąc, że nieżywy płód na świat wydali.

Zarzuty ciężkie — przyzna każdy — ale nie mogą i nie powinny utrzymać się na progu młodej, pełnej nadziei umiejętności. Tym, którzy mnie-

mają, że socyologii brak podstaw rzetelnych, odpowiadam: przeciw wszelkim prawom statyki i równowagi budowano już najmocniejsze gmachy. I tak postawiono na przekór wszelkim prawom statyki obelisk św. Piotra w Rzymie, a przeciw stoi nienaruszony i współzawodniczy ze sztuką stuleci. Nawet obliczenia matematyczne nie opierają się zawsze na absolutnie niezachwianych podstawach, tak, że pewien matematyk francuski powiedział raz tym, którzy wątpili: *Allex en avant, la foi vous viendra*. Dla nas wystarczy, jeśli socyologia osiągnie ten stopień rzetelności i względnej pewności, jakim się zadawalniają pewniejsze nawet i ściślejsze nauki.

Tym, którzy sądzą, że socyologia jest umiejętnością niedojrzałą, odpowiadam: z natury swej niedojrzałymi są wszystkie ludzkie twory. I nie mogłoby być inaczej, bo wszelka nowość powstaje drogą zgwałcenia tego, co wrogie nowości — i dlatego nie znajduje ona korzystnych warunków, w którychby młode idee dojrzeć mogły. Naukowa synteza, do jakiej dąży socyologia, jest niedojrzała i może zawsze taką zostanie. Ale i zjednoczenie Włoch wydało się w latach 1849 i 1859 niedojrzałym nawet najznakomitszym naszym mężom, a jednak zostało zwycięsko dokonane. W Niemczech wyraził się w roku 1870, pewien znakomity uczony, Roscher, że współczesna epoka nie dojrziała jeszcze do zjednoczenia politycznego Niemiec, że nie pogodzą się z tem jeszcze history-

czne warunki kraju; — i oto kilka miesięcy potem dokonał dzieła tryumfalnie Bismark. — Nieodjrzałem nazywano wyzwolenie niewolników w Ameryce w r. 1864, a jednak zostało uchwalone i zyskało poklask. Nieodjrzałym nazywają dziś ruch kobiecy, a jednak święci już zaszczytne tryumfy we wszystkich cywilizowanych krajach. Podobnie i socyalizm uznają niedojrzałym, a tymczasem prawodawstwo najwyżej cywilizowanych państw jest już w $\frac{3}{4}$ socyalistyczne. Wogóle można słusznie powiedzieć, że wszystkie wielkie i piękne rzeczy powstają przedwcześnie, a jeśli dlatego ma być socyologia uznana za niedojrzałą, to możemy właśnie z tego faktu wyprowadzić dowód i bardzo pomyślną oznakę jej przyszłej wielkości. Tym wreszcie, którzy szyderczo prawią, że socyologowie martwy płód porodzili — przypomnimy legendę, w którą, jak opowiada Jan Villani, wierzył w wiekach średnich lud florentyński, a która według Lassala do dziś dnia nie znikła zupełnie wśród ludów północnych. Legenda opowiada, że lew rodzi się martwy, a dopiero rozpaczliwe wycie ojca przywołuje go do życia. Dobrze zatem — i socyologowie powili nieżywego lwa: lecz tak strasznie krzyczeli, tak zawodzili nad jego ciałem, że oto się zbudził do nowego życia, zmartwychwstał, i stoi piękny, silny, dumny i żółtą potrząsając grzywą, strach budzi i podziw bojaźliwych wrogów.

WYKŁAD DRUGI.

Socyologia na gruncie psychologicznym.

We Francyi, w tym kraju, któremu zdaje się poruczone zostało zadanie rzucania nowych haseł, zapładniających i przekształcających inne narody—rozpoczął się ten ruch umysłowy, któremu socyologia zawdzięcza swe istnienie. Na początku XIX stulecia podłożył Saint-Simon w pismach swych i kazaniach do wiernych uczniów fundamenty pod gmach tej nowej, jednolitej umiejętności. Właściwie zachowuje Saint-Simon, podobnie jak Plato i Arystoteles dla przedmiotu swych badań miano »polityki«, dodaje jednak natychmiast uwagę, że polityka nie może się zajmować wyłącznie ustrojem państw, lecz musi też uwzględnić warunki istnienia i prawa rozwoju całego społeczeństwa; z tego też powodu obejmują jego dzieła cały zakres socyologii. Nie można jednak stanowczo w niepowiązanych ze sobą pismach Saint-Simona szukać choćby niezupełnego systemu nowej umiejęt-

ności, a temsamem szeregu sformułowanych, łączących się ze sobą twierdzeń. Nie możemy się też dziwić, jeżeli w dziełach osobliwego myśliciela, co pragnął stać się pewnego rodzaju papieżem przemysłowym, a filozofom i bankierom chciał oddać ster państwa — znajdziemy czasem dziwaczne wyobrażenia i chimeryczne koncepcye. Ale wśród tych fantastycznych przekonań i koniecznych niekiedy utopii, znajdują się w dziełach Saint-Simona niektóre naprawdę głębokie i genialne spostrzeżenia, które potem późniejszym socyologom wielce się przydały. Saint-Simon nie doszedł jeszcze do nakreślenia wielkiego prawa rozwoju, któremu podlega życie społeczeństw ludzkich; z drugiej strony jednak nie zasklepił się w przekonaniu o nieruchomości, które stanowi cechę charakterystyczną dociekań socyologicznych w starożytności i wiekach średnich. Przyjmował, że społeczeństwa są w ruchu, ale ruch ten nie jest bez przerwy postępowy, lecz falisty, albo przerywany nagłem, bolesnem odbiciem, i na podstawie tej myśli doszedł do podziału dziejów ludzkości na epoki organiczne i krytyczne. W pierwszych, mówił dalej, są wypływy ludzkiej działalności, ujęte w ogólną teorię, przewidziane, uporządkowane, a cel działalności społecznej ściśle określony; w drugich natomiast nie udaje się żadna akcja, żadna koordynacja ogółu, a społeczeństwo jest tylko agglomeratem odosobnionych wrogich jednostek.

Myśl ta znajduje się już w starych religijnych kosmogoniach, które też dzielą dzieje ludzkości na epoki wzrostu i sławy, upadku i zniszczenia; możnaby nawet z łatwością wskazać poprzedników Saint-Simona w św. Janie albo w prorokach Izraela, którzy przepowiadali upadek narodu, albo wreszcie w autorze księgi Daniela, którego właściwie z tego względu nazwał Renan założycielem filozofii dziejów. Ale myśl Saint-Simona jest w bardziej bezpośrednim związku z teorią Vica o przyplywie i odpływie pewnej cywilizacji, która wyparta przez inną ustępuje, by znów po wiekach powrócić na jej miejsce. Historia nam znana wykazuje zdaniem francuskiego pisarza tylko dwie epoki organiczne: starożytny wschód i wieki średnie; po niej nastąpiły dwie wielkie epoki krytyczne: świat grecko-rzymski i nowożytny; my wreszcie, wierzy Saint-Simon, stoimy u progu trzeciej epoki organicznej, epoki pokoju, cywilizacji i równouprawnienia, która przyjdzie po okresie przełomów i doprowadzi ostatecznie do równowagi społecznej.

Niema potrzeby wyliczać wszystkiego, co w tej budowie Saint-Simona jest dowolne. Przesadza, nazywając epoką organiczną taką mumię dziejową jak letargiczny okres wschodu, przesadza, zdobiąc nazwą »organicznej epoki« średniowiecze, okres obskurantyzmu i surowości, przesadza wreszcie, skoro czasy takie jak grecko-łaciński i nowożytny, okresy niekiedy kilkowiekowe, należące do

najsławniejszych w dziejach ludzkości uważa tylko za zjawiska krytyczne, za patologiczne anomalie. Nie dadzą się też utrzymać zdania Saint-Simona co do wielkiego problemu socyologicznego, jakim jest przyczynowość zjawisk społecznych. Pozostanie stanowczo zasługą tego genialnego myśliciela, że zwrócił uwagę na istnienie i ważność społecznego determinizmu, z chwilą jednak, gdy usiłuje sam zagadnienie to rozwiązać, popada w chwiejny eklektycyzm. Sądzi on bowiem, że wszelki system polityczny wznosi się zarówno ponad każdy, zdolny do życia system filozoficzny jak i ekonomiczny; tak to stworzył Saint-Simon ów dualizm filozoficzny, któremu hołduje jeszcze niestety i dzisiaj wielu socyologów mniejszej sławy, a który jest równie zgubny dla myślenia, jak niezdolny do systematycznego uporządkowania zjawisk socyalnych. Znajdują się natomiast w pismach Saint-Simona niezmiernie cenne uwagi np. o trzech stopniach rozwoju społeczeństwa: teologicznym, metafizycznym i pozytywnym, uwagi, które, jak zobaczymy, rozwinął potem August Comte — są tam zdania o przeciwstawieństwie społeczeństwa wojskowego i przemysłowego, zdania, które potem podjęli również Comte i Spencer; istnieją wreszcie w znacznej ilości rozważania na temat: jak wywieść zjawiska polityczne z czynników ekonomicznych, rozważania stanowiące przedmiot nowej szkoły t. z. materyalistycznego poglądu na historię.

Jednakże pomimo tych cech godnych uwagi,

należy jeszcze Saint-Simon do przedhistorycznej epoki badań socyologicznych; dopiero później stały one na stanowisku godnem nauki, a to dzięki zasłudze innego francuskiego pisarza, który pochodził wprawdzie ze szkoły Saint-Simona, ale pod wielu względami różnił się od swego mistrza.

Był to August Comte.

Zasługą jego — której bynajmniej nie chcemy przeceniać — jest przedewszystkiem to, że dał nowej umiejętności tę nazwę, którą nosi do dziś dnia, a którą pewnie, mimo niechęci językowych purytanów i na przyszłość zachowa. Lecz to jest ostatnie ogniwo w łańcuchu zasług, jakie położył Comte około nowo powstającej umiejętności; starał się on bowiem nadto z niezmierną bystrością wyznaczyć stanowisko, jakie należy się tej nauce w systemie wiedzy ludzkiej, usiłował jak najszerzej naukowo rozwinąć i wytłómaczyć rządzące nią prawa. Aby wyznaczyć socyologii należne jej miejsce w systemie umiejętności, układa Comte klasyfikację nauk, która pomimo krytyki, jakiej ją poddał Herbert Spencer, jeszcze do dziś dnia ma zwolenników. Zdaniem Comte'a stanowią nauki o »rzeczach«, podobnie jak rzeczy same ciąg postępowy, malejący pod względem ogólności i abstrakcyi, rosnący ze względu na zawilóść i konkretność.

Pierwsze ogniwa tego ciągu stanowiłyby nauki ogólniejsze i bardziej abstrakcyjne, od których dopiero kolejno możnaby przechodzić do innych,

bardziej konkretnych i dlatego mniej ścisłych gałęzi wiedzy.

Oto hierarchiczny porządek umiejętności według zasady Comte'a: 1. matematyka, 2. astronomia, 3. fizyka, 4. chemia, 5. biologia, 6. socjologia; każda z nauk w tym szeregu jest zatem mniej ogólna i abstrakcyjna, natomiast bardziej zawiła i konkretna, niż poprzednia. Ponieważ więc nie można zajmować się umiejętnością konkretną bez znajomości zasad nauk abstrakcyjnych, przeto ten hierarchiczny szereg poszczególnych umiejętności daje zarazem obraz ich chronologicznego porządku. Innymi słowy: najpierw studjuje się naukę najbardziej abstrakcyjną i odosobnioną od wszystkich innych — matematykę, astronomią, która już pewne zasady od matematyki przyjęła, zajmować się można dopiero po tamtej; na polu fizyki pracować można rzetelnie dopiero na podstawie tych ostatnich i t. d. aż się wreszcie dojdzie do socjologii; ponieważ ta ostatnia jest najbardziej konkretna ze wszystkich umiejętności, przeto nie może nikt przystąpić do studium zjawisk z jej zakresu, jeśli nie zna zasadniczych praw, odkrytych na polu innych gałęzi wiedzy i dlatego też występuje socjologia na widownię wtedy dopiero, skoro inne przejawy myśli naukowej, stały już na pewnym stopniu rozwoju. Ta okoliczność tłumaczy, dlaczego socjologia z pośród wszystkich nauk przyszła na świat ostatnia, to właśnie wyjaśnia, czemu się tak późno ukazała na

umysłowym horyzoncie ludzkości i czemu dotychczas tak drobne i powolne czyni postępy na drodze do poznania prawdy.

Klasyfikacya nauk dokonana przez Comte'a jest niezupełna przede wszystkim dlatego, że nie obejmuje fizyologii; umiejętność tę wcielił Comte prowizorycznie i niesłusznie w zakres nauk biologicznych, zastrzegając się przytem, że utworzy z niej potem rozdział frenologii, nauki w istocie bardzo hypotetycznej, której podówczas z wielkiem powodzeniem nauczał Gall, poprzednik naszego genialnego Lombrosa. Nie uwzględniono nadto w tym podziale ekonomii politycznej i innych nauk społecznych, o których Comte sądził mylnie, że objęte zostaną zakresem nowej, przez niego zapowiadanej, syntetycznej nauki. Ale mimo te i inne braki klasyfikacya Comte'a jest w istocie logiczna, odpowiada celowi i można ją przyjąć. Przyjąwszy ją jednak, nie wolno nigdy zapominać, iż nie zaprzecza ona bynajmniej, lecz owszem wyraźnie zaznacza, że zwarty szereg nauk konkretnych jest w pewnej mierze cennym środkiem pomocniczym wobec bardziej abstrakcyjnych a przez to wcześniejszych umiejętności. Jeśli się np. wypowiada przekonanie, że socyologia zawdzięcza zasady swe innym umiejętnościom i dlatego po nich powstać musiała — to nie wyłącza się bynajmniej tej okoliczności, iż te wcześniejsze nauki, mogą ze swej strony czerpać nowe światło z wyników, do jakich doszła socyologia i że z rezultatów tych wypro-

wadzać mogą dowody na pewne własne twierdzenia. Jest nawet rzeczą pewną, że biologia, psychologia i inne ogólniejsze gałęzie nauki znaczną już dotychczas czerpały pomoc z wyników socjologii. Hierarchia i chronologiczne następstwo poszczególnych gałęzi wiedzy nie wyłącza absolutnie ich wzajemnego wspierania się i obustronnej łączności.

Określiwszy w ten sposób dokładnie stanowisko socjologii w systemie nauk, wnika Comte w istotę jej zadania, przez które rozumie wykrycie praw rządzących społeczeństwem ludzkim.

Pod tym względem wyróżnia Comte dwa zasadniczo odmienne zakresy badania: statykę i dynamikę społeczną; pierwsza zajmuje się analizą zjawisk w stanie spoczynku, drugą bada społeczeństwo w ruchu, który Comte w przeciwstawieniu do Saint-Simona uważa za nieustanny i postępowy. Przeciw temu podziałowi zarzutów oczywiście nie brakło. I tak — mniemano, że zastosowanie czysto-mechanicznych formuł statyki i dynamiki do ciała społecznego jest równoznaczne z przestarzałym wyobrażeniem o społeczeństwie, jako mechanizmie; mówiono dalej, że nie zgadza się to z nowożytnym pojmowaniem społeczeństwa jako organizmu, bo organizm żywy jest z natury swej niespokojny i śmierć dopiero pozbawia go ruchu. Chociażbyśmy nawet wszystko to uznali, to jednak zgodzić się musimy, że wiele zjawisk społecznych tylko pod tym warunkiem zdołamy

dokładnie zanalizować, że pomyślimy sobie społeczeństwo w stanie równowagi; dlatego też przynajmniej jako metoda badawcza podział Comte'a może być pożyteczny.

W zakresie statyki społecznej, nie wdaje się Comte w badania zbyt obszerne i gruntowne. Poprzestaje tylko na zaznaczeniu tego faktu, że społeczeństwo ludzkie nie zawdzięcza bynajmniej, jak sądzą niektórzy, początku swego pożytkowi, jaki wypływa dla jednostek ze zjednoczenia się z innymi; pożytek ten bowiem jest późniejszy, niż instytucja uspołecznienia, nie może być przeto jej przyczyną; źródłem są tu psychologiczne, wrodzone człowiekowi warunki, skłaniające go do społecznego pożytku. Te psychologiczne warunki, których zbadanie przede wszystkim Comte'a zajmuje, sprowadzić się dadzą do dwóch zasadniczych: skłonność do ogółu równych sobie i życzliwość. Z drugiej jednak strony spotykamy w człowieku pewne skłonności egoistyczne, które działają w kierunku przeciwnym, oddalają go od społeczeństwa. Stąd pochodzi ów antagonizm, owa walka instynktów altruistycznych, pchających jednostkę w życie społeczne, z instynktami egoistycznymi, skłaniającymi ją do wystąpienia z szeregow ogółu. A jednolitość społeczeństwa, oraz postępowy jego rozwój stoją w prostym stosunku do przewagi instynktów altruistycznych nad czystym, absolutnym egoizmem.

Uspołecznienie się, jako skutek zwycięstwa

instynktów altruistycznych nad egoistycznymi objawia się w dwóch wielkich formach: jedną z nich jest rodzina, drugą jedność w pracy, czyli przemysłowe współpracownictwo (kooperacya). Jednostka nie jest jeszcze zdaniem Comte'a komórką społeczną, jest nią dopiero rodzina; ale studyum rodziny wkracza już w zakres badań biologicznych i nie stanowi zatem przedmiotu właściwej socjologii, która się zaczyna bezpośrednio badaniem społeczeństwa. Jedynie i wyłącznie społeczeństwo jest zdaniem Comte'a godnym i stosownym przedmiotem nowej nauki, tylko ono jest osią, dookoła której krążyć powinny badania dotyczące rodziny lub jednostki ludzkiej; Comte dochodzi nawet do mniemania, że indywiduum wcale nie istnieje, że jest ono abstrakcją, a tylko społeczeństwu przypisać należy realność bytu. Nie potrzeba, sądzę, dowodów na to, że powyższe zdanie jest pewnym nonsensem: indywiduum bowiem jest istotą, której byt może każdy stwierdzić, istotą, którą spotykamy na ulicy, którą witamy, której dłoń uścisnąć możemy — społeczeństwo zaś jest tworem metafizycznym i nikt go nigdy nie spotkał, nikt mu dłoni nie uścisnął. A kontury społeczeństwa są nadto tak niewyraźne i zatarte, że nadają się do najrozmaitszych interpretacji: społeczeństwem jest dla jednego naród, dla drugiego zbiór jednostek tej samej rasy, dla trzeciego oznacza ona mieszkańców pewnej części świata, dla innego wreszcie obejmuje cały ród

ludzki; trzeba tu socyologa o wybitnej sile i subtelnym sprycie, aby granice pojęcia, które samo w sobie nie jest ściśle oznaczone, wyraźnie nakreślił. Jeśli zaś z drugiej strony indywiduum według mniemania Comte'a jest abstrakcją, jakże więc może być społeczeństwo istotą realną, skoro nie jest ono niczem więcej, jak sumą indywiduów? Jak może być realność wytworem złączenia pewnej ilości abstrakcyi?

Mówiąc w dalszej części tych studyów o łączności pracy i jej podziale, wyświetla Comte znaczne korzyści tej instytucyi, zapomina jednak zarazem o smutnych szkodach, jakie z niej pochodzą; zapomina np. o tej szkodzie najcięższej, że skutkiem właśnie tego podziału pracy, zajęcie nieustannie to samo, czasami aż beznadziejnie maszynowe i fragmentaryczne, jak np. ciągle ostrzenie igieł, przytępia człowieka niesłychanie. Ale filozof-pozytywista ma w tym względzie zupełną rację. Łączność jest w istocie najpłodniejszym wynalazkiem ludzkiej inteligencyi, jest ona nawet najpierwotniejszą cechą istot inteligentnych, bo te jedynie zdolne są do łączenia się. Idyoci np. nie łączą się nigdy i to właśnie ułatwia, jak wiemy z doświadczenia, utrzymanie karności w domach obłąkanych przy pomocy niewielkiej stosunkowo liczby dozorców. Ale łączność, a zwłaszcza współpracownictwo jest zarazem strasznym narzędziem, tłumiącym energię duchową; zaprzęgając bowiem człowieka do jednego, wiecznie powta-

rzającego się, jednostajnego zajęcia, zabija w nim wszelkie duchowe zdolności. W tem miejscu popada Comte w śmieszność, skoro jako środek zaradczy przeciw tym szkodliwym wpływom, poleca stworzenie pewnej duchowej potęgi, któraby w tego na części niejako porwanego człowieka wpajała ogólne syntetyczne wyobrażenia.

Znacznie wyższe stanowisko w systemie Comte'a, zajmuje dynamika społeczna, czyli studyum praw rozwoju ludzkiego społeczeństwa. Comte wyszczególnia przedewszystkiem drugorzędne czynniki takiego rozwoju i sprowadza je do trzech zasadniczych: niezadowolenie, śmierć i szybki wzrost ludności. Niezadowolenie jest tem dla klas posiadających, czem dla pozbawionych posiadania jest głód: jest ono bodźcem do działania. Niezadowolenie, podobnie jak głód, podnieca jednych do wielkich czynów, drugich jednak do wielkich zbrodni, i jeśli temu niezadowoleniu zawdzięczamy wspaniałe poematy Byrona, to nie zapominajmy, że ono było również źródłem podłych czynów Nerona i Ludwika XV. Mimo to, niezbitą jednak pozostanie prawdą, że niezadowolenie jest potężnym czynnikiem współdziałającym przy wszystkich wynalazkach, niewyczerpanem źródłem płodnych pobudek; gdyby bowiem niezadowolenia na świecie nie było, wiele wynalazków, wiele wielkich dzieł nie doszłoby do skutku. Drugiem źródłem postępu jest śmierć. Gdyby człowiek był nieśmiertelny — postęp nie mógłby wcale istnieć; bra-

kłoby bowiem tego wiecznego, kolistego kręgu, zamykającego byt wszystkich istot, nie byłoby w ludzkiej działalności owej żywej zmiany różnorodnych, wzajem sobie wrogich prądów, które się kłębią nieustannie w wieczystym strumieniu życia. I tak nie mogło być mowy o postępie w państwie Laputa, opisanem przez humorystę Swifta, bo mieszkańcy tego kraju byli nieśmiertelni, albo umierali wreszcie — przytłoczeni nudną monotonią swej wiecznej egzystencji. Śmierć wywołuje starcie pomiędzy konserwatywnym duchem starej generacji, a nowatorskimi zapędami młodzieży, a z tej bezustannej i potężnej walki rodzi się pragnienie czynu, ta walka pobudza do niezmordowanych usiłowań i pomaga ludzkości na drodze postępu. Powyższe zdanie Comte'a znajduje dziś silne poparcie w teoriach Weismanna, który zwraca uwagę na to, że śmierć stworzona jest przez naturę jedynie na pożytek gatunku, jej zawdzięczamy dobór sztuczny, przy pomocy którego powtarza gatunek własne postępy. Z drugiej jednak strony, zbyt krótkotrwałe życie przeszkadzałoby wszelkiemu postępowi, uniemożliwiając dokonanie wielkich planów lub dokończenie dzieł wiekopomych. Widocznie przeto długość ludzkiego żywota jest właśnie taka, jakiej potrzeba do stałego i normalnego postępu; nie jest ono wieczne, bo byłoby wtedy przeszkodą wszelkiego rozwoju, nie jest też zbyt przelotne, jednodniowe, bo takie zdławiłoby rozwój w samym początku. Ostatnim

wreszcie czynnikiem wpływającym dodatnio na postęp, jest jak najszybszy wzrost ludności. Przyspiesza on bowiem następstwo pokoleń, zmniejsza zatem różnicę wieku między rodzicami i dziećmi. Bezpośrednio zaś skutkiem tego faktu jest wyzwolenie się młodszej generacji z pod autorytetu starszych, zdobycie sobie przez nią większej niezależności, oraz zaostrzenie się walki indywidualnych dążeń, walki, będącej źródłem i podporą społecznego ruchu. Dlatego też w krajach, gdzie ludzie wcześniej wchodzą w związki małżeńskie, gdzie zatem pokolenia szybciej następują po sobie, istnieje żywsza walka przekonań i rozwój szybszym postępuje krokiem. Objaw ten dostrzedz możemy w każdej chwili w krajach nowych, jak Ameryka północna, a nawet i w narodach starych, wśród klas pracujących, gdzie właśnie z powodu wczesnego kojarzenia się związków małżeńskich, zjawiają się jako cechy charakterystyczne, większa znacznie żywość w dyskusyi, oraz wyżej rozwinięta rzutkość ducha, niż w klasie mieszczańskiej. A także radykalne usposobienie niższych warstw ludu, wywodzi się bezwątpienia z tych właśnie duchowych wpływów, których źródłem szybsze następstwo pokoleń.

Zagłębiając się dalej w badania nad najgłówniejszą przyczyną społecznego rozwoju, dochodzi Comte do zasadniczego wniosku, że rozwój społeczeństwa jest ściśle uwarunkowany rozwojem myśli, czyli innymi słowy: postęp społeczny jest

wynikiem duchowego postępu. Dajcie mi obraz duchowego stanu pewnego narodu — mówi Comte — a określe wam warunki jego istnienia i społeczne stanowisko. I oto droga duchowego postępu ludzkości w okresie wielu tysięcy lat, rozpada się na trzy wielkie stadya: początek stanowi faza teologiczna, później następuje faza metafizyczna, dziś zbliża się duch ludzki ku fazie pozytywnej, która będzie dziełem przyszłości. Tym zaś trzem fazom w duchowym rozwoju rodu ludzkiego odpowiada tyleż faz rozwoju społecznego: okres militaryzmu, okres prawa i okres przemysłu, dowieść tego rodzaju zgodności — oto jedyne zadanie, jakie sobie stawia cała filozofia historyi Comte'a. To, co filozof ten mówi o pierwszej fazie, t. j. o okresie teologicznym, zdaje się być prawdopodobne. Uważa mianowicie, że fetyszyzm jest pierwszym bodźcem do sztuki, stwarza pierwsze narzędzia do pracy rąk, i wspomaga rozwój handlu. Religia bowiem pierwotna, wszczepiając człowiekowi cześć dla bóstw lokalnych, splata go z ziemią i daje pochop do pracy na roli. Polyteizm, który się zjawia bezpośrednio potem, rodzi niezgodę i wojny między narodami, a w ten sposób łączy się z teologicznym prądem myśli źródło militarycznego ustroju społeczeństwa ludzkiego. Wojny umożliwiają pojmanie nieprzyjaciół w niewolę: stąd zasadnicze urządzenia w starożytności okazują się niczem innem jak tylko wynikiem wielobóstwa. Stopniowe przejście polyteizmu w mo-

noteizm wprowadza w życie wręcz przeciwne zjawiska: rzadkie wojny, stopniową zmianę niewoli w poddaństwo i wreszcie w wolność pracy. Tak więc — fetyszyzm zabija jeńca, polyteizm zachowuje go przy życiu, monoteizm go uwalnia; w każdym wypadku jest położenie społeczeństwa wynikiem panujących w niem duchowych prądów.

Powyższy schemat Comte'a napotyka jednak w każdym razie, już nawet w tej pierwszej części, trudności wielkie, przeszkody omal nie do pokonania. Wystarczy wspomnieć tylko tę jedną okoliczność, że doktryna Comte'a uznająca niewolę za skutek polyteizmu, nie zdoła bynajmniej wytłómaczyć faktu istnienia niewoli w koloniach, krajach i narodach z gruntu monoteistycznych. I nawet te mniej lub więcej wymowne deklamacje filozofa, piętnujące nienaturalność, potworność i ohydę odradzającej się w koloniach pogańskiej niewoli, nie zdołają wcale wytłómaczyć tego tajemniczego objawu.

Ale trudność powyższa, okaże się nawet bardzo małą w porównaniu z inną, wobec której staje autor, przystępując do następnej fazy społecznego życia. W istocie zaledwie dotarł do metafizycznego okresu, poczynającego się w XIV w. — spostrzega nagle, że teza jego się chwieje i zmuszony jest przyznać, że na początku tego okresu już nie rozwój duchowy warunkuje życie społeczne, lecz przeciwnie, warunkiem estetycznej, naukowej i wojskowej produkcji, słowem warunkiem

stanu i rozwoju społeczeństwa jest rozwój przemysłu. Comte dodaje wprawdzie spiesźnie, że zupełna przewaga duchowego pierwiastka nad siłą człowieka w przyszłym stuleciu, skoro metafizyczny prąd myśli zupełnie przeminie i ustąpi iście pozytywnej orientacji, znowu się zjawi i nigdy już nie zniknie; ale na razie musi filozof nasz ze smutkiem przyznać, że teza jego stoi do góry nogami, że nie inteligencją lecz przemysłem warunkowany jest stan społeczeństwa i jego prawa, że innemi słowy, stosunki ekonomiczne są tym czynnikiem, od którego zależy duchowa i społeczna organizacja ludzkości. Ze względu na badania okresu teologicznego, uważać należy Comte'a za założyciela socjologii o podkładzie intelektualnym, w następnej jednak części swych dociekań, stwarza on sam w tezie przez się postawionej wyłom, przez który wtargnąć mogła i w istocie wtargnęła nowsza i lepsza szkoła socjologii, opartej na gruncie ekonomicznym.

W zapamiętałem uwielbieniu dla swej zasadniczej myśli, uznającej rozwój społeczeństwa za skutek duchowego rozwoju, mimo ciężkiej trudności, jaką napotkał, nie daje się Comte zbić z raz obranej drogi i przepowiada przyszłą epokę, w której nauka zapanuje samodzielnie nad losem zmartwychwstałych narodów. W tym przyszłym społeczeństwie, ster rządu całego świata spoczywać będzie w dwóch rękach: w ręku siły duchowej, złożonej z korporacji pozytywistycznych filo-

zofów, którzy odcięci od drogi wzbogacenia się, za jedyne zadanie i obowiązek mieć będą badanie ogólnych praw ducha i materji; oraz w ręku potęgi świeckiej, korporacyi kapitalistów, a zwłaszcza bankierów, stosujących prawa te w produkcji.

Na tem urywam rozbiór wywodów Comte'a, gdyż w tem miejscu tracą one pewną podstawę pozytywnych badań i wkraczają w dalekie przestwory utopii. Projekty reformy socyalnej, wymyślane przez Comte'a w chwili, gdy już tragedia życia rodzinnego ciemną mgłą osnuła jego umysł, są — jak wiadomo — niczem więcej, jak tylko smutnym pomnikiem rozkładu podniosłego ducha. W pierwszych tomach swego kursu, napisanego podczas pożycia z kapryśną i swawolną kobietą, przyznaje kobiecie stanowisko istoty nieletniej i żąda, by zostawała zawsze pod opieką męża, ojca lub brata. Skoro zaś później zerwał jarzmo rodzinne i zawiązał miły stosunek z piękną Klotyldą de Veaux, skoro znowu potem stosunek ten zerwany został nagle śmiercią kochanki i Comte oddał się mistycznemu uwielbieniu jej wspomnienia — wtedy nie waha się podnieść kobietę na piedestał bóstwa, przed którym każdy dobry pozytywista głęboko korzyć się musi. Uważał się wtedy za apostoła nowej religii, w której ludzkość jest najwyższą istotą, Klotylda świętą panną, ziemia wielkim fetyszem, a Comte wielkim kapłanem; przepowiada religię, w której za modlitwę

uchodzić będzie wspomnienie i cześć dla drogich, wybranych osób, religię, która mieć będzie swoje pozytywistyczne Pater i Ave, oraz 84 świąt do roku. Z trzech kobiet, które w życiu kochał, z kochanki Klotyldy, matki Rozalii i służącej swej Zofii stwarza sobie trójcę; — to chyba wystarcza! Kalendarz katolicki zastąpić pragnie kalendarzem pozytywistycznym, w którym dzień każdy nazwany będzie imieniem jakiegoś poety, uczonego lub dobroczyńcy ludzkości, a do tego, by w latach przestępnych uzupełniać kalendarz, służyć ma cały zastęp mniej znakomitych mężów. Czy trzeba więcej? Comte chce nawet wprowadzić znak krzyża pozytywistycznego, polegający na tem, by się kolejno dotykać organu miłości, porządku i postępu.

Lecz odwróćmy wzrok od tego smutnego obrazu obłądu. System Comte'a, a właściwie zasadniczą jego tezę, że rozwój społeczny zależy od intelektualnego rozwoju, przyjęło i rozszerzyło dalej wielu myślicieli. Pierwszy z nich Adolf Quetelet tak mówi w swej fizyce socyalnej: »Jedynie tylko nauka postępuje naprzód. Wszystkie zdolności człowieka nie oparte na nauce są z natury swej stałe, a prawa ich niezmiennie; inne rozwijają się tylko zależnie od nauki. Dlatego może nauka być miarą rozwoju ludzkości«. Tę samą myśl powtarza Buckle i usiłuje jej dowieść bardzo ładnym rozumowaniem. Dwa tylko — mówi — mogłyby istnieć czynniki rozwoju społecznego; inte-

ligencya i moralność; ale moralność jest stała, lub nie zmienia się przynajmniej między jedną a drugą epoką, jak tego dowodzi niezmienna cyfra rok rocznie wykonanych egzekucyi, czynnik zaś niezmienny nie może być przyczyną tak z natury swej zmiennego objawu, jakim jest właśnie rozwój ludzkości; pozostaje więc tylko inteligencya i jej przypisać musimy znaczenie momentu działającego. Na tej podstawie kreśli Buckle drogę rozwoju zachodniej kultury i w znakomitej »Historji cywilizacyi w Anglii — której, niestety, rzucony w dalekiej Syrii przez febrę na łożo śmiertelne dokończyć nie mógł — przedstawia ten rozwój jako skutek postępu myśli i nauki w zachodnim świecie. Uczniami Comte'a można po części też nazwać: Edgarda Quinet, Fustela de Coulanges i Maxa Müllera, gdyż i oni łączyli dzieje cywilizacyi z historją religijną i mistyczną myśli.

Zanim jednak zaczniemy się doszukiwać śladów teoryi mistrza w pismach najwierniejszych jego uczniów, odpowiedzieć musimy na pytanie, które się nam w tej chwili uparcie narzuca: Czy doktryna Comte'a zgadza się z rzeczywistością? Czy zasługuje na uznanie ze strony obecnej, naukowej socjologii?

Wystarcza nieco się tylko rozejrzeć, by się przekonać, że zasadnicza idea teoryi Comte'a nie jest bynajmniej owocem samotnej, myślowej spekulacyi, lecz owszem, ogniwem w nieskończonym szeregu teoryi starszych i współczesnych myśli-

cieli. Już członek konwentu markiz Condorcet wypowiada w swych uwagach o postępie ludzkiego ducha, przekonanie, że rozwój społeczny jest produktem intelektualnego rozwoju; tę samą tezę postawił Turgot, a poparł ją, jak już wspomnieliśmy Saint-Simon. Tymczasem z drugiej strony Renou głosił tę samą myśl Hegel i wywodził historię z ewolucyjnego rozwoju idei. Już fakt narodzenia się tej samej myśli w umysłach tak różnych i dalekich od siebie autorów, dowodzi, że nie wyrosła ona jak grzyb nad powierzchnię ziemi, ani nie powstała sama z siebie, lecz była koniecznym wynikiem społecznych warunków. I stanowczo nigdy nie były warunki społeczne tak korzystne dla wytworzenia tego rodzaju teorii, jak właśnie wtedy. Były to bowiem czasy, kiedy samotni myśliciele głęboko i daleko sięgające wywoływali w świecie zmiany. Franklin ubezwładnił gromy, Watt wynalazł maszynę parową, która dokonała przewrotu w przemyśle; Adam Smith stworzył teorię wolnego handlu, zrywając w ten sposób więzy ustaw cłowych; Rousseau traktatem społecznym zachwiał podstawy polityki i obalił dynastie; Kant wypędził bóstwo z państwa rozumu i skruszył podpory wiary. Uczeni myśleli wtedy o zmianie postaci ziemskiego globu, lub chcieli rzucić go na tory zakreślone przez wszechwładne prawa abstrakcyjnej logiki. Jakaż teoria wydawać się mogła wobec tych założeń naturalniejszą i bardziej zrozumiałą, jak właśnie ta, we-

dług której myśl kieruje ruchem społecznym, nauka przewodniczy rozwojowi i panuje samowładnie nad losem ludzkości.

Nie trudno rozpoznać w filozofii Comte'a obraz epoki współczesnej autorowi, nie trudno się przekonać, że warunki ówczesne dały do niej impuls, że w nich tkwi jej racya bytu — ale nie ulega też wątpliwości, że taka ogólna teoria rozwoju ludzkości jest fałszywa i bezpodstawna. Już sam Comte — jak się przekonaliśmy — przyznał, że teoria ta stosować się nie da do epoki trwającej od XIV. w. aż po nasze czasy, bo w tym okresie nie idea, lecz przemysł kieruje rozwojem społecznym. Cóż jednak powiedzieć można o takiej filozofii historii, która staje bezradna wobec nie mniej, ni więcej, jak tylko sześciowiekowej, najgruntowniej zbadanej, najwyższej posuniętej epoki dziejów ludzkości?

Ale jeśli pominiemy już i tę okoliczność — to przecie błąd Comte'a polega na tem, że uważa on myśl, inteligencyę człowieka za coś pierwotnego, nie stworzonego, coś, co się z własnej siły, według własnych inmanentnych praw rozwija. Ależ to przecie zupełnie nieuzasadnione! Myśl bowiem ludzka nie jest bynajmniej czemś pierwotnem, niestworzonem, niezależnem od świata rzeczywistego, lecz raczej koniecznym wytworem, przypadkowym odbiciem rzeczywistości, wśród której żyje, otoczenia, w którym się obraca. Nowoczesne, prawdziwie pozytywne badania doprowa-

dziły do wyniku, który wywraca tezę Comte'a dosłownie »do góry nogami« i orzekły, że rozwój społeczny nie jest wytworem, lecz raczej źródłem rozwoju umysłowego; innymi słowy: nie sposób myślenia rzeźbi byt człowieka, lecz raczej życie rzeźbi jego myśli. Wniosek ten okrywa nam wprawdzie mgłą tajemniczości przyczyny bytu i rozwoju społeczeństwa, każe jednak potępić socyalną teorię Comte'a.

Ale idźmy dalej: Gdyby teoria Comte'a miała być słuszna, w takim razie postęp ducha powinien iść ręką w rękę z politycznym i społecznym rozwojem; tymczasem dzieje się z reguły przeciwnie. Często kraje, w których życie polityczne i społeczne, tłumione niesprawiedliwą dłonią tyranów przedstawia obraz nędzy i beznadziejnego pustkowania — właśnie te kraje są kolebką przedziwnego, duchownego rozkwitu, wspaniałego wzrostu produkcyi artystycznej, literackiej i naukowej. A nie jest to wcale przypadkowy zbieg okoliczności lecz fakt uzasadniony i dający się łatwo wytłómaczyć. Właśnie bowiem skutek tych nędznych i smutnych stosunków publicznych, usuwają się wyżej uzdolnione jednostki z niebezpiecznej drogi polityki i wyzwolone z wszelkich społecznych nawyknień, otaczają się spokojną atmosferą ideału, w której mogą rozkwitać i piękne rodzić owoce. Dlatego epoki nacechowane zupełnym rozkładem społecznym są z reguły okresami bardzo znamienitej produkcyi duchowej; jako przy-

kład wspomnieć tu przede wszystkim należy okres Peryklesa w Atenach, Leona X. we Włoszech, Milтона w Anglii. Najwyższy rozkwit filozofii niemieckiej w umysłach Kanta, Schellinga, Hegla przypada na czasy absolutnych i reakcyjnych rządów. A i dziś nawet najwspanialszy i największy utwór literacki, głośne »Quo vadis« jest dziełem Polaka, poczętem i dokonaniem w kraju niewoli, knuta i zesłania. To przecie nie społeczno-duchowy parallelizm. Łatwiej dopatrzeć by się można niezgłębionej przepaści między tymi dwoma przejawami życia ludzkości — przepaści, którą może zbawienne wpływy przyszłego rozwoju wyrównać kiedyś zdołają.

Pragnę, aby powyższy rozbiór dał ogólne pojęcie o doktrynie Comte'a, o pięknych jej zasługach oraz błędach, które ją zniszczyły. Błędy te są dziś niewątpliwie ogólnie znane i niema już jednostronnego wyznawcy socyologicznego systemu, który uważać można za zupełnie pokonany. Ale teoria Comte'a aczkolwiek bezpowrotnie zburzona zasługuje jednak zawsze na wspomnienie, jako pierwsza próba usystematyzowania zjawisk społecznych i zawiera obok fundamentalnych błędów światło prawdy, z których korzystać będą musieli socyologowie wszystkich czasów. I rzeczywiście zawdzięczają Comte'owi niektórzy z najmłodszych socyologów wiele bardzo ważnych posterunków. Spencer rozwija niektóre jego pojęcia w swych »zasadach socyologii«; pewne uwagi i teorie

de Greefsa pozostają w bezpośrednim związku z Comt'em, genialne myśli Tard'a o naśladownictwie wykazują stanowczy wpływ Comte'a, a zajmujące próby Giddingsa, który usiłuje oprzeć socyologię na psychologicznych podstawach łączą się mniej lub więcej bezpośrednio z nauką twórcy pozytywizmu. Właśnie teoria Comte'a o zależności społecznego rozwoju od duchowego postępu, choć sama bezwątpienia fałszywa, była jednak cenną pobudką do badania dziejów nauki i wiary lub ogólniej — myśli, i nadała umiejętnościom tym takie znaczenie, taki powab, jakiego sobie nigdy przedtem ani potem nie zdobyły. Straconą wprawdzie została inteligencya ludzka z tronu królowej historyi i rozwoju, na jakim ją system Comte'a usadowił — ale nie da się zaprzeczyć, że ten system właśnie stanowić będzie po wieczne czasy koronę, ozdobę i chlubę myśli człowieczej.

WYKŁAD TRZECI.

Socyologia na podstawie biologicznej.

Wszystkie najwspanialsze odkrycia, które cześć i sławę zdobywają duchowi ludzkiemu, dokonywane były zawsze po dwa razy; pierwszy raz mimo woli, jak gdyby żartem, drugi raz ze świadomością wartości i użyteczności wynalazku.

W teatrze następuje farsa po dramacie, na scenie życia dzieje się odwrotnie: farsa poprzedza dramat; najpierw przychodzi odkrycie śmieszne, a potem następuje poważne. Afrykę opłynął Necus 21 wieków wcześniej, niż Bartolomeo de Diaz; Amerykę odkryli Islandczycy 5 wieków przed Krzysztofem Kolumbem; węgiel kamienny, prasa i proch, znane były Chińczykom pierwej niż Anglii, Gutenbergowi i Schwarzewi, lecz wszystkim tym wczesnym odkryciom towarzyszy nieświadomość znaczenia, społecznego pożytku, jaki z nich wypłynąć może, funkcji, do jakich użyć się dadzą. Służą one jeszcze pewnym jednostkom za rozrywkę

dla zabicia czasu, ale nie mają znaczenia »nowości społecznych«. Te zjawiają się dopiero później z drugim wynalazkiem. I jest to zupełnie sprawiedliwe, że ludzkość chwałę odkrycia przyznaje drugim wynalazcom i z pominięciem pierwszych im się całą odplaca wdzięcznością; tamtych bowiem wiodło na drogę odkrycia pragnienie zaspokojenia egoistycznej potrzeby pewnej przyjemności, chęć schlebienia własnej próżności lub ukrócenia nudy; ci natomiast umieli kosztem niedostatku i nędzy zużytkować wynalazek swój na pożytek społeczeństwa, stworzyć zeń niewyczerpane źródło dobrodziejstw dla całej ludzkości.

Z chwilą, gdy przystępujemy do analizy drugiej i pod wielu względami największej szkoły socyologicznej, opartej w zasadach na wynikach biologii — uwagi powyższe są w istocie uzasadnione. Wszystkie bowiem niemal zasadnicze myśli tej szkoły spotyka się w mniej lub więcej wyraźnej formie u niektórych dawniejszych autorów. I tak: pojęcie społeczeństwa jako organizmu — na co pisarze tej właśnie szkoły tak wielki kładą nacisk — znajduje się już u Platona, Bacona, Hobbesa (który nawet myśl tę kilkoma rysunkami ilustruje), u Rousseau i Hegla. Myśl tę, że socyologia oprzeć się powinna na biologii i zużytkować stosunki zachodzące między społeczeństwem ludzkim a zwierzęcem — myśl tę wypowiada już Comte, który nawet w klasyfikacji nauk uznał socyologię za ogniwo dalszego

rozwoju biologicznej wiedzy. Ta sama myśl o rozwoju przebija w pismach Heraklitów, Hegla, Comt'a, słowem w dziełach całego szeregu nowożytnych i starożytnych pisarzy. A jednak, gdy mowa o szkole socyologicznej, opartej na biologii — cały świat uczony wymawia na czele imię Herberta Spencera. Dlaczego? Otóż z tej przyczyny, że myśli te, rzucone przez dawniejszych pisarzy w formie niepełnych wzmianek lub axiomatycznych twierdzeń, w dziełach angielskiego filozofa ujęte zostały w zwarty system ściśle uporządkowanych, logicznie udowodnionych, z jednego, zasadniczego pierwiastka wyprowadzonych twierdzeń; dalej — dawni teoretycy stawiali tylko tezę, Spencer zaś rzuca żywy jej obraz i przedkłada silne, przekonujące dowody. Dotarłszy drogą biologicznych badań na niwę społecznych studyów, widzi się Spencer zmuszonym iść dalej i podnieść pierwiastek biologiczny na najwyższe stanowisko czynnika stwarzającego zjawiska społeczne. Dlatego porzuca doktrynę Comt'a, orzekającą, że pierwiastek intelektualny, myśl, kieruje i porusza światem — a mniema, iż uczuciom władzę tę przypisać należy. Nie pod wpływem myśli człowiek działa, lecz pod naciskiem swych uczuć i namiętności. Stąd wniosek następujący: Zbadanie statyki i dynamiki społecznej możliwe jest nie na drodze analizy duchowej produkcji człowieka, lecz na podstawie znajomości życia samego indywiduum lub praw jego wewnętrznej organizacyi;

nie filozofia zatem, lecz tylko biologia zdoła odkryć tajemnicę społecznego ustroju.

Łatwo zrozumieć można, jak nieocenione usługi oddać może socjologii wiedza biologiczna, skoro się przyjmie punkt zasadniczy, że wszelki organizm jest społecznością — a wszelkie społeczeństwo organizmem. Wszelki organizm jest społeczeństwem, ponieważ stanowi ogół solidarnych, ściśle ze sobą związanych komórek; a wszelkie społeczeństwo jest organizmem, ponieważ składa się z komórek, indywidualów, które pracują równorzędnie i solidarnie w celu zapewnienia egzystencji i rozwoju skupionej całości. Analogii pomiędzy społeczeństwem a organizmem doszukać się łatwo w wielu szczegółach. Wzrost np. ciał organicznych, różni się tem od nieorganicznych, że podczas gdy te ostatnie zwiększają się w rozmiarach (jak np. minerały przez powolną inkrustację), to w organizmach do zwiększenia rozmiarów dołącza się komplikacja budowy, rozczłonkowanie, zróżniczkowanie organów i funkcji. A to samo dzieje się i w społeczeństwach ludzkich. Społeczeństwa pierwotne są zupełnie niezróżniczkowane, każda jednostka jest tam równocześnie bojownikiem, myśliwym i rybakiem; lekarze są równocześnie prorokami i magami; — tak samo jak w niższych organizmach nie ma specjalnych narządów oddechowych, ruchowych, odżywczych i t. d. A podobnie jak cechą charakterystyczną wyższych form organicznych jest wy-

tworzenie specjalnych narządów, tak i przejście ludzkiego społeczeństwa na wyższy szczebel rozwoju charakteryzuje się wytworzeniem osobnych i odrębnych narządów społecznych. To też powstają specjalne społeczne narządy odżywcze (rolnictwo, przemysł), narządy krążenia (handel), narządy obrony (wojna, prawodawstwo) i t. p.

Nie dość na tem! Najcharakterystyczniejszą cechą zwierzęcego organizmu, zaopatrzonego w specjalne narządy jest wewnętrzna solidarność, jaka między nimi panuje, zupełna wzajemna zależność jednego od drugiego, tak, że skoro działalność jednego z nich ustanie, natychmiast i wszystkie inne niezdolne są do pracy. Z ustaniem bicia serca, płuca nie oddychają, mózg nie myśli, nerwy nie drgają, centra ruchome martwieją i t. d. Taka sama ścisła łączność panuje między organami skupionej całości społecznej. Skoro zabraknie węgla kamiennego — wydalą się robotników z fabryk; skoro w łonie ziemi wyczerpią się zapasy surowego materiału, ustaje przemysł i handel, wojsko zostaje bez broni i amunicji i t. d. i t. d. Ten związek, ta ścisła łączność funkcji poszczególnych narządów wzrasta wprost proporcjonalnie do rozwoju zarówno jednostki organicznej — jak i organizmu społecznego. Dalej: życie organizmu zwierzęcego trwa zwykle — z wyjątkiem nadzwyczajnych katastrof — dłużej niż życie składowych jego części; komórki niszczą się i odradzają, narządy odnawiają się, ale organizm żyje.

Tak samo życie społeczeństwa jest dłuższe, niż byt komórek, indywiduów, z których się ono składa; całe pokolenia zapadają w groby, a społeczeństwa trwają wiecznie lub gasną dopiero po wiekach. I tu jeszcze nie kończy się analogia. W organizmie zwierzęcym rozróżniamy trzy rodzaje tkanek: tkanka zewnętrzna, *exoderma*, wystawiona bezpośrednio na działanie otoczenia, przyjmuje z powietrza wpływy dla organizmu pożyteczne, a usuwa szkodliwe; tkanka wewnętrzna, *endoderma*, przyjmuje i przeobraża przeznaczony do asymilacji materiał; tkanka średnia, *mesoderma*, składa się z naczyń krwionośnych, znajduje się między dwiema poprzednimi i zaopatruje je w życiodajne soki. W organizmie społecznym odpowiada tkance zewnętrznej klasa wojowników i sędziów — oni bronią; funkcje wewnętrznej tkanki wykonywa stan gospodarczo-przemysłowy — on dostarcza pożywienia; kupcy wreszcie, analogicznie z tkanką średnią — zajmują się rozdziałem. Podobnie jak w organizmie zwierzęcym z *exodermy* wytwarza się z biegiem czasu system nerwowy, tak w organizmie społecznym z kasty wojowników powstaje klasa rządząca. A jak w rozwoju organicznym tkanka zewnętrzna traci znaczenie na korzyść obu pozostałych, tak gaśnie też z biegiem rozwoju społecznego gwiazda wojowników w porównaniu z klasami, zajmującymi się produkcją i handlem. Bo ludzkość podnosi się ze stanu wojkowego do przemysłowego; oddalając się coraz

bardziej od wyłącznie wojującej hordy, kroczy ku bardzo jeszcze dalekiej niestety, formie społecznej, w której działalność jednostki będzie wolna i bezpieczna pod ochroną wspólnego pokoju. Zgodnie z tym rozwojem przeobrażają się też rytmicznie narządy społeczne, a jeśli władza plemienia wojennego podobna jest do cerebro-spinalnego systemu nerwowego, to panowanie spokojnego szczepu przyrównać można do nerwu sympatycznego. Zaznaczyć przytem należy, że ta ostatnia analogia Spencera sprzeciwia się najnowszym postępom w dziedzinie biologii, która pozbawiła nerw sympatyczny owego znaczenia, jakie mu dawniej przypadało w udziale i straciła go na skromne stanowisko nerwu lub pewnego narządu; utraciwszy w ten sposób wszelkie cechy samowładzy, stał się on bezwładnym i nieszkodliwym, jak ostatni prezydent republiki.

Mimo tych, pod wielu względami rzucających się w oczy analogii, między organizmem jednostkowym a społecznym, nie powinny ujść naszej uwagi istotne ich różnice. Są to: 1. Organizm zwierzęcy składa się z nierozdzielnie ze sobą powiązanych części, podczas gdy organizm społeczny jest całością o częściach różnych i oddzielnych. Jedna komórka nie może się oddzielić od innych z nią złączonych; ale komórka społeczna, człowiek, może się oddalić od współobywateli, może z kraju swego wywędrować lub zostać wydalony w odległe krainy, może się wreszcie zabić.

2. W organizmie zwierzęcym są pewne części wrażliwe, inne niewrażliwe; w organizmie społecznym niema monopolu wrażliwości dla pewnych jednostek lub grup, lecz istnieje ona w równym stopniu we wszystkich jego częściach. Skoro więc w organizmie zwierzęcym, świadomość skupia się w pewnej mniej lub więcej ograniczonej sferze agregatu — w organizmie społecznym rozciąga się ona na agregat cały. Nie można się przeto doszukać w społeczeństwach ludzkich pewnego odmiennego od indywiduum narządu zmysłowego, takiego np. jak ograniczony narząd zmysłowy w organizmie zwierzęcym. Z różnicy powyższej wynika dalszy, niezmiernie doniosły wniosek: podczas gdy w jednostce narządy żyją i funkcjonują na korzyść indywiduum, to życie i funkcya indywiduów niema na celu korzyści społeczeństwa lub pewnego uprzywilejowanego organu, ale przeciwnie społeczeństwo żyje i rozwija się na korzyść jednostek, z których się składa. Nie da się zatem utrzymać przekonanie Arystotelesa i innych filozofów, że człowiek stworzony jest dla państwa a nie państwo dla człowieka, uderza natomiast słuszność przeciwnej, naturalniejszej i słuszniejszej tezy, którą po raz pierwszy postawił Hobbes: że państwo jest środkiem, a jednostka celem; tylko więc te przepisy i prawa mogą być dozwolone, które dążą do korzyści rodu ludzkiego.

W każdym razie te wzmianki godne różnice między społeczeństwem a organizmem nie zdołają

zatrzeć wyraźnych analogii, jakie między nimi istnieją; na tej też podstawie nie waha się Spencer wnioskować, że społeczeństwo jest organizmem, choć może *sui generis*.

Ta analogia oddała Spencerowi doniosłe usługi jako cenne narzędzie w badaniu stanu i stopniowego rozwoju form społeczeństwa. Podobnie jak organizm zwierzęcy — mówi dalej — podlega społeczeństwo nieugiętym prawom rozwoju, wiódącego ze stadyum różnic w zakresie jednego gatunku do odrębności gatunkowych — a co ważniejsza, przyczyna obu tych rozwojowych procesów jest jedna i ta sama. Organizm rozwija się dzięki walce o byt; ginie w niej wszystko co słabe, zwycięża pierwiastek najsilniejszy i najlepiej przystosowany; to samo dzieje się w społeczeństwie: i tu silniejsze i mędrsze indywidua odnoszą zwycięstwo, pierwiastki słabe i zdegenerowane — giną. Naturalny dobór lepszych jest najenergiczniejszym czynnikiem społecznego rozwoju — nie jest jednak czynnikiem jedynym; podobnie jak w rozwoju organicznym obok doboru naturalnego działa wpływ otoczenia i dziedziczność nabytych własności — tak samo dzieje się i w rozwoju społecznym. Tradycya idei moralnych, nowych odkryć i doktryn jest bezwątpienia niezmiernie cennym czynnikiem w rozwoju kolejno po sobie następujących pokoleń i pomaga ludzkości w pochodzie ku jasnym szczytom nieskończonego postępu.

Oto w krótkim zarysie socyologiczna teoria Herberta Spencera: symetryczna i składnie ułożona całość, na której widok każdy badacz staje zdumiony i zainteresowany. Około tej doktryny ugrupowała się szkoła, złożona z podniosłych duchem i pełnych entuzjazmu ludzi (Worms, Lilienfeld, Dürkheim, Novicoff, Mallock), którzy komentowali poglądy mistrza, starali się je udowodnić i — czasem aż do przesady — uzmysłowić. Pisarze ci, obrawszy sobie za tło nakreśloną przez Spencera analogię między społeczeństwem a organizmem, malują na niem rozliczne, naukowe arabeski, czasem zupełnie niestosowne i barokowe. Bo Spencer głosząc ogniście analogię między ciałem zwierzęcem a społecznym, nie omieszkiał dodać, że uważa ją tylko za figurę retoryczną, która może w plastycznej formie wyrazić prawa społecznego życia. Ale uczniowie jego zapomnieli o tem rozsądnem zastrzeżeniu i nietylko przesadzali w rozwijaniu najdrobniejszych szczegółów tej analogii, lecz uważali ją za argument, za substrat wielu praw socyalnych. Do śmieszności dochodzi uczoney niemiecki, wyliczając społeczne warstwy, narządy, naczynia, centra motoryczne, nerwy i ganglie; a inni socyologowie tej szkoły nie są bynajmniej bardziej umiarkowani. Opisuja oni nawet społeczne ramię, społeczny nerw sympatyczny, społeczne płuca, demonstrują społeczny system naczyniowy, reprezentowany przez instytucje kas oszczędności. Pewien profesor Sorbony

definiuje kler, jako zatłuszczoną tkankę nerwową — frazesy śmieszne dla każdego, kto miał sposobność oglądać wyschnięte postaci naszych wiejskich księży. Inny socyolog porównywa włókna nerwowe z drutami telegraficznymi, a mózg ludzki z centralnym biurem telegrafu. Czy można żądać więcej? Pewien pisarz zapędził się tak daleko, że odróżnia państwa męskie i kobiece; do pierwszej kategorii należą zdaniem jego państwa zdobywcze, uzurpujące sobie władzę nad pokonanymi narodami, do drugiej państwa zdobyte i ujarzmione.

Ekscentryczne te wybryki wyglądają tak, jakby usiłowały podkopać powagę doktryn, których miały być komentarzem, one to ponoszą w znacznej mierze winę za to, że wiele umysłów wcale nie konserwatywnych ani reakcyjnych straciło zaufanie do nowożytnej socyologii. Jeśli jednak pominiemy te swawolne dodatki uczniów i powrócimy do umiarkowanych pism mistrza, to musimy przyznać, iż zdołał on tylko głębszą analizę stanów społecznych zastąpić ciężkim balastem niepłodnych analogii. Bo i my możemy doszukać się większej nawet ilości punktów stycznych między społecznym a ludzkim organizmem i wysledzić w społeczeństwie ramiona, płatki, naczynia, możemy wykazać cały szereg chorób, jak nabrzemienia, guzy, zapalenia woreczka sercowego i t. p., lecz wszystkie te odkrycia ani o krok naprzód nie posuwają analizy prawżycia społecznego. Stworzymy szereg mniej lub więcej plastycznych i barwnych obra-

zów, nie uzyskamy jednak żadnego pozytywnego, naukowego wyniku naszych badań. Taki jest właśnie los Spencera. Systematyczna tablica analogii pozwala mu przedstawić najjaśniejsze zjawiska społecznego życia w malowniczej formie, może się to niejednemu z punktu widzenia artystycznego i literackiego niezmiernie podobać, na innych robi może wrażenie dekadencckiej manieri, lecz żadnemu z nich niczego nigdy nie tłumaczy, nie dowodzi. Dlatego socyologia Spencera jest opisowa, nie badawcza, przedstawia niższą fazę metody badawczej, może służyć za przygotowanie do wyższej, naukowej analizy. A ten system Spencera zasługuje na naganę nie tylko ze względu na metodę, która polega na analogii, lecz przede wszystkim ze względu na samą podstawową tezę: że socyologia opierać się powinna na biologii. Wystarczy tylko powierzchownie zbadać tę tezę, aby wyświecić rażąca w niej sprzeczność. Jako nauka samodzielna rości sobie socyologia prawo do rozstrzygnięcia problemu, o ile życie społecznego agregatu podlega prawom różnym od praw rządzących życiem jednostki. Jeśli zaś powiemy: prawa obowiązujące w życiu jednostkę są też prawami w życiu społeczeństwa, to musimy z konieczności wnioskować logicznie, że w takim razie do wytłumaczenia ogółu społecznych zjawisk wystarczy biologia, a umiejętności socyologiczne tracą rację bytu. W ten sposób szkoła ta zamiast oprzeć socyologię na pewnej podsta-

wie zabija ją w kolebce. Ale i bez względu na to, jest rzeczą jasną, że wspólny wszystkim organizmom fenomen biologiczny, nie może służyć za metodę badawczą w zakresie społecznych zjawisk, gdyż te ostatnie, w bardziej zwłaszcza zawiłych i pospolitych objawach są wyłączną własnością gatunku ludzkiego. Bo tylko człowiek stwarza instytucje wychowawcze, prawnicze, karne, człowiek jedynie zawiązuje polityczne, narodowe i międzynarodowe stosunki i daremnie byłoby szukać śladu tych objawów wśród niższych gatunków; a zresztą — co najważniejsze — człowiek tylko żyje w społeczeństwie. Wiem, że zwolennicy Spencera są właśnie innego zdania i przy każdej sposobności powołują się na społeczeństwa bobrów, pszczoł i mrówek. A jednak udało im się przy pomocy systematycznie powiększającego szkła wysledzić tylko materialne, wspólnem niebezpieczeństwem wywołane, pod każdym względem nieświadome i mechaniczne skupienia, które nie mają przecie nic wspólnego z rozczłonkowanem i skomplikowanem życiem społecznem ludzkości. Skoro zaś z dwóch cech, jedna, t. j. czynnik biologiczny wspólny jest wszystkim gatunkom, druga, t. j. czynnik społeczny, wraz z należnymi doń stosunkami jest wyłączną własnością rodzaju ludzkiego, przeto chęć wyprowadzenia faktów drugiej kategorii z cech pierwszej jest pod względem logicznym nonsensem. Jasne bowiem, że w takim razie do wywołania w łonie agregatu, złożonego

z jednostek ludzkich, zjawisk życia społecznego, zjawisk zatem nie spotykanych w aggregatach niższego gatunku, nie wystarczy fenomen biologiczny, im wszystkim wspólny, lecz istnieć musi koniecznie specjalny i tylko ludzkiej istocie właściwy czynnik.

Ten, w samych podstawach poczęty błąd ciągnie się przez całą doktrynę Spencera, tkwi we wszystkich jej twierdzeniach i jest pierwszym powodem rozlicznych braków i pożałowania godnych usterek, do których dołącza się niestety taka wcale nie drobna wada, jak nieznamość czynnika historycznego. Łatwo bowiem pojąć, że szkoła, uznająca socyologię za rozgałęzienie biologii zdawać sobie musi sprawę z tych tylko czynników, które stanowią cechę wspólną człowiekowi i niższym zwierzętom. Ponieważ zaś historia jest zjawiskiem ludzkości tylko właściwem — przeto jasne, iż biologia nie może jej objąć swym zakresem. Z tego też powodu błądzi Spencer jak i jego zwolennicy z takim zamiłowaniem po nieskończonych obszarach przedhistorycznej epoki; dlatego się tak chełpi wiedzą o prastarych borach Ameryki, Afryki lub Australii, a pomija zupełnie historię i nie zna nawet biegu zdarzeń w ciągu dziejowego rozwoju ludzkości. Skąd to pochodzi? Stąd właśnie, że metoda biologiczna może wiele pomódz w badaniu zwierzęcego trybu życia w lasach dziewiczych, staje się jednak bezsilną wobec wyższych komplikacji kulturalnych, wobec istot bardziej rozwi-

niętych, o wyższym stopniu rozwoju, t. j. wobec narodów, żyjących w historii. Z tego punktu widzenia ośmielałam się twierdzić stanowczo, że teoria Spencera była krokiem wstecznym w stosunku do systemu Comte'a. Bo ten ostatni, jakkolwiek błędny, dawał jednak badaczowi tę nić Ariadny, która go wiodła wśród labiryntu historii, umożliwiała kolejno po sobie następujące fazy społecznego życia rozdzielać i badać i usiłowała niejako zasadnicze ich linie w jednym ożywym skupić pierwiastku. Nauka Spencera okazuje się natomiast zupełnie niezdolna do wypełnienia tego najważniejszego zadania, staje bezradna właśnie u progu historii i nie może w żaden sposób zbadać skomplikowanych i zróżniczkowanych zjawisk, jakie się w niej rozgrywają; daje ona może aż zbyt wystarczającą filozofię społeczeństw dzikich, epok przedhistorycznych, lecz nie da nigdy historii świata cywilizowanego, ani nawet okresu barbarzyństwa, nie mówiąc już o filozofii historii wogóle. To też socjologia Comte'a rzucała jasne strugi światła na świat klasycznej starożytności, na średniowiecze, a nawet na życie współczesne, a teoria Spencera zostawia wszystkie epoki dziejów ludzkości w zupełnym mroku, lub oświetla je tak słabo i ponuro, że zaledwie najzewnętrzniesze niezróżniczkowane ich zarysy na jaw wyjść mogą.

Stąd też pochodzi, że ta biologiczna teoria nie może wnikać w specyficzny charakter spo-

łecznego rozwoju, nie może rozpoznać jego przeobrażeń w szeregu najzupełniej odmiennych progressywnych form. Ja nawet ośmielę się twierdzić — choć wygląda to może na paradox — że teoria Spencera jest anti-ewolucyjna. Przedstawia ona bowiem społeczeństwo ludzkie w wiekowym rozwoju, jako społeczeństwo militarne, które dąży do organizacyi przemysłowej, lecz nie może jej osiągnąć. W obrazie Spencera widzimy, jak się ludzkość w wspaniałym pochodzie rozwojowym wydoskonala, różniczkuje, oczyszcza, jak pomnaża i urozmaica sobie środki do dalszego rozkwitu i ekspansyi, ale charakterystyczne jej rysy, miarodajne prawa nie zmieniają się, pozostaje zawsze społeczeństwem militarnem, które dąży do fazy przemysłu. W rzeczywistości jednak dzieje się zupełnie inaczej: proces rozwoju ludzkości składa się z całego szeregu historycznych faz, z których każda nadaje jej radykalnie odmienne rysy charakteru, formy i prawa; zrazu komunizm, potem niewola, później feudalizm, w końcu system zarobkowej płacy, jako podstawa społecznego porządku, wszystkie te fazy to oddzielne światy historyczne, oddzielne organizmy, mające z sobą tyle wspólnego, co mucha z gorylem lub pszczoła ze słoniem. Te wszystkie rozliczne, a zasadniczo odmienne formy, wtłacza Spencer w jedną rubrykę, ujmuje pod jedno hasło na tej tylko podstawie najpłytszej obserwacyi, że wszystkie te społeczeństwa mają rys wspólny w militaryzmie! Ależ w ta-

kim razie możnaby równie słusznie połączyć żabę, orła i człowieka na tej zasadzie, że wszystkie te istoty żyją i oddychają. Lecz wreszcie i ta teza Spencera, jakoby w społeczeństwie ludzkim obowiązywało prawo zwycięstwa najbardziej do życia przystosowanych jednostek, upada po powierzchownem bodaj porównaniu z rzeczywistością. Widzimy bowiem, że w walce o byt nie najlepsi, lecz owszem przeważnie chytry, przekupni i bogaci zdobią się w trofea zwycięskie, pokonani zaś nie giną, lecz muszą żyć dalej, żywić, usługiwać i zabawiać zwycięzców; w walce społecznej brak zatem widocznie tych wszystkich czynników, które tak owocnie przyczyniają się do postępu, rozwoju i wydoskonalenia na polu biologicznych zapasów.

Myliłby się bardzo ten, kto by nasze powyższe uwagi zrozumiał jako absolutne potępienie naukowego prądu, który bądź co bądź znaczne oddał przysługi socyologicznym badaniom i który, przynajmniej należy, oparty jest na podstawach zawsze prawdziwych. Nie ulega wątpliwości, że chociaż życie społeczeństwa jest niezależne od życia indywidualuów, które je tworzą, to jednak społeczeństwo z indywidualuów tych się składa, a sposób życia i łączenia się w grupy tych istot organicznych, podlegać musi ściśle biologicznym warunkom i prawom rządzącym organizmem wogóle. To też znajomość praw tych jest nieodłącznym warunkiem poznania praw kierujących organizmem społecznym; z tego punktu widzenia trzeba się

koniecznie zgodzić na to, że biologia jest zasadniczą podstawą socyologii — to jest pierwsza prawda, której systemowi Spencera nikt odmówić nie może. Nadto owa analogia między społeczeństwem a organizmem, chociaż nie daje owocnych odkryć, wpaja jednak przekonanie, że społeczeństwo nie jest sztucznym tworem człowieka, maszyną, którą on sam złożył i wedle upodobania zmienić lub rozłożyć może, lecz wytworem naturalnym, podlegającym ściśle prawom rozwoju i postępu, wytworem, którego człowiek zniszczyć lub istotnie zmienić nie zdoła. W tem właśnie tkwi wielki postęp Spencera w porównaniu z Comtem. Kiedy bowiem teoria Comte'a, według której społeczeństwo jest wytworem ludzkiej inteligencji, nasuwała ta myśl, że przecie tylko od woli człowieka zależy w takim razie zmiana społecznego stanu, kiedy w ten sposób usprawiedliwiała owych reformatorów, którzy tworzyli projekty, marząc o nowinkach społecznych — rzucił Spencer w stosownej właśnie chwili strugę zimnego światła na owe szalone marzenia i pokazał, że społeczeństwo jest organiczną całością, podlegającą ściśle niezmiennym prawom natury. Wykazał, że myśl o dowolnej zmianie położenia tej całości za pomocą zmiany paragrafu w statucie lub jakiegokolwiek administracyjnej czy politycznej reformy jest równie niedorzeczna, jak pomysł półgłówka, iż zdoła idealnie wyprostować nogi psa, lub słonia nauczyć lotu. Reforma społeczna osiągnąć może najwyżej

tak skromne rezultaty, jak hodowla przy roztropnem i stosownem krzyżowaniu; podobnie, jak można po wielokrotnych usiłowaniach zmniejszyć lub powiększyć kształt głowy, rogów, nóg wołu lub owcy, tak też zdołają cierpliwe, a niestrudzone usiłowania reformatorów usunąć pewne nierówności i odkształcenia społeczne. Lecz na tem koniec. Skoro zatem Comte kończy mniej więcej obfitym zapasem projektów — wypowiada Spencer jako ostatnie słowo: kwietyzm. Kwietyzm to przesadny, zwłaszcza gdy nim Spencer walczy przeciwko socjalizmowi, cechom i wszelkiemu pośrednictwu państwowemu — zapominając, że i te zjawiska są częścią koniecznego rozwoju społecznego i daremnie z nimi walczyć — ale kwietyzm w każdym razie bliższy prawdy, niż gwałtowne, a bezsilne pragnienia poprzedzającej szkoły.

Gdyby mnie wogóle zawezwano do sformułowania sądu, w którymby miała być synteza nauki Spencera, a zarazem porównanie jego teorii z systemem Comte'a, powiedziałbym, że przedmiotem Comte'a jest najwyższy idealizm, Spencera najgłębsze życie zwierzęce. Comte mówi w imieniu idei, w których wita najwyższe przewodniczki ludzkiego społeczeństwa, Spencer w imieniu komórek i nerwów, oraz ich nieświadomych wibracji. Comte buja w krainie chmur, Spencer pełza pod ziemią; Comte jest aniołem, Spencer faunem. Ale żaden z tych myślicieli nie stoi na ziemi, żaden niema prawdziwie pozytywnego i ludzkiego

wyobrażenia o społecznem życiu. Socyologia, która znalazła w Comcie anioła, w Spencerze fauna, musi jak Diogenes, iść szukać — człowieka. Czy go znalazła? To będzie przedmiotem dalszego badania. Tyle tylko pewne, że od tego, czy go w jakimkolwiek sposób znajdzie, zależy przyszłość i los tej młodej i wiele obiecującej umiejętności.

WYKŁAD CZWARTY.

Ostatnia faza biologicznej socyologii.

Teorya organicznego rozwoju, jedynie zdaniem zwolenników, biologicznej socyologii zdolna do rozwiązania zagadki społecznej ewolucyi, przeszła sama pewien proces rozwojowy, zatoczyła niezmiernie interesującą krzywą, którą poznać koniecznie musi każdy, kto chce zrozumieć ten trudny problem, stanowiący oś dyskusyi między stronnikami nowej umiejętności. Pierwsza teorya transformacyi Lamarcka pojmowała rozwój gatunków jako prosty wynik usiłowań przystosowania się jednostki do otoczenia; usiłowania te, powtarzając się przez pewien znaczniejszy okres czasu, modyfikują i wydoskonalają w końcu odnośny organ, a zatem i cały organizm. Te stopniowe wydoskonalenia, jako skutek bezustannej walki organizmu z otoczeniem, przechodzą w wyraźniejszym już stopniu i jaskrawszej formie na potomstwo, a wzmacniane nadal dziedzicznością i cią-

głębokim ćwiczeniem w szeregu generacji, mogą w końcu spowodować radykalną przemianę gatunku, lub stworzyć nawet nowy gatunek. Taki był w krótkości zarys teorii Lamarcka. Teoria ta przyjęta zrazu z niedowierzaniem ustąpiła wkrótce innej głębszej, a obszerniejszej teorii Darwina. Ten przyznaje wprawdzie, że przystosowanie do otoczenia i dziedziczność nabytych własności są bardzo poważnymi czynnikami w rozwoju organicznym, twierdzi jednak stanowczo, że obok nich znacznie ważniejszą odgrywa tu rolę czynnik inny — wtedy po raz pierwszy przez Darwina na czele postawiony — dobór naturalny. Ponieważ środki pożywienia nie mogą nigdy wystarczyć dla całego ogółu żyjących istot, przeto powstaje między nimi straszliwa walka o byt, w której lepsi i silniejsi zwyciężają — słabi giną bez miłosierdzia. Ten właśnie fakt, że przy życiu zostają okazy najsilniejsze, zaopatrzone w najdoskonalsze organa, wpływa pomyślnie na polepszenie i rozwój gatunku; wszystkie bowiem korzystne własności silnych zwycięzców, przechodzą z pokolenia na pokolenie, przybierają coraz wyraźniejsze kształty i mogą w końcu wytworzyć nowy wyższy gatunek. Dlatego też — kończy Darwin — nie można mówić o jednym tylko czynniku rozwojowym, jak go sobie Lamarck w swej metafizycznej jednostronności wyobrażał, lecz owszem wiele czynników składa się na ten rezultat, który zwiemy rozwojem gatunków.

Na tej obszerniejszej teorii oparł swą naukę Spencer i przedstawił w niej rozwój organiczny, jako wynik działania trzech czynników: otoczenia, doboru i dziedziczności nabytych przymiotów. Pod wpływem otoczenia powstają odmiany indywidualne, i poczyną się najprostsze różniczkowanie jednolitej protoplazmy; dobór naturalny podtrzymuje i wzmacnia owe pozytywne i dodatnie odmiany; dziedziczność wreszcie owych nabytych własności albo drogą ćwiczenia i przystosowania powstałych modyfikacji budowy wydoskonala indywidua i gatunki. Ten ostatni czynnik odgrywa właśnie najwybitniejszą rolę wśród ludzi, gdzie dobór naturalny natrafia na potężne, wrogo działające wpływy. Zdawało się, że nowa ta nauka, na której sztandarze widniały takie dwa imiona jak Darwina i Spencera zapanuje bez przeszkody na niwie biologicznych, a zatem i socyologicznych badań. Tymczasem już mniej więcej 30 lat temu, zjawia się nowy, znacznie odmienny prąd, który powoli dochodzi do przewagi. Powraca on z pewną odmianą do dawnej jednostronności Lamarcka i uważając dobór naturalny za jedyny czynnik rozwoju, przyznaje innym wyżej wspomnianym czynnikom rolę osób niemych lub przypadkowych statystów.

Nowa ta faza teorii rozwoju poczyną się od wystąpienia przyrodnika niemieckiego Augusta Weismana. Uczony ten wślawił się zaprzeczeniem możliwości dziedziczenia nabytych własności, które

właśnie zdaniem Lamarcka miało stanowić wyłączny i jedyne czynnik w rozwoju zwierzęcych gatunków. Według Weismana obejmuje wprawdzie dziedziczność własności przyrodzone, nie może się jednak odnosić do tych, które pochodzą z przyzwyczajenia i ćwiczenia. A więc np. dzieci czerwono- lub ciemnoskórych, będą koniecznie tej samej barwy, bo chodzi tu o własność przyrodzoną, która przechodzi z pokolenia na pokolenie. Ale dziecko tancerza lub tancerki, którzy przez długie ćwiczenie mogli wspaniale wydoskonalić kształty nóg, nie musi mieć koniecznie nogi wyjątkowo pięknej, szewc, który wskutek pozycyi, w jakiej siedzi cały dzień przy pracy, skrzywił sobie grzbiet — nie musi mieć syna o pochyłym grzbiecie; syn skrzypka nie musi odziedziczyć ruchliwości palców, jaką osiągnął ojciec drogą długiego ćwiczenia i t. p.; wszystkie te bowiem własności nabyte nie przechodzą jako takie, na potomstwo.

Weisman opiera swą tezę na twierdzeniu, że wszelka istota składa się z dwóch części, z plazmy zarodkowej i komórek somatycznych.

Wszystko co w indywiduum nie jest plazmą zarodkową, stanowi komórkę somatyczną, a między temi obiema częściami nie może być żadnej wymiany, żadnego wzajemnego pomieszania. Otóż przy rozplodzie przenosi istota organiczna część swej plazmy zarodkowej na noworodka, nie przenosi jednak ani jednej cząstki własnych komórek somatycznych. Dlatego wszelkie modyfikacye, po-

wstające w komórkach giną w indywiduum, nie przechodząc na dalsze pokolenia. Ponieważ zaś wszelkie modyfikacye organów uzyskane drogą ćwiczenia lub wskutek braku tegoż, słowem, wszelkie przymioty i wady nabyte, odnoszą się wyłącznie go komórek, nie tykając bynajmniej plazmy zarodkowej, która zamknięta w najgłębszych pokładach organizmu, usuwa się z pod wpływu czynników zewnętrznych, przeto własności nabyte nie podlegają prawu dziedziczności.

Wyjaśnimy to jeszcze na przykładzie. Po śmierci każdego kawalera orderu złotego runa w Hiszpanii, musi rodzina zmarłego oddać wstęgę zasianą klejnotami królowi, który ją może teraz innym w nagrodę zasług przeznaczyć; futerał jednak, w którym order przechowywano, może zostać w rodzinie czasowego posiadacza wstęgi. Rozumie się zatem, że jeśli wprzód właściciel orderu ozdobił swój futerał rysunkiem lub klejnotami, to ozdoby te nie przechodzą na jego następcę w wysokiej godności, bo ten otrzymuje tylko wstęgę — bez futerału. Wstędze odpowiada w teorii Weismana plazma zarodkowa, futerałowi — komórki somatyczne. Wydoskonalenie organizmu przez ćwiczenie, wychowanie i t. p. odpowiada upiększeniu futerału; ponieważ zaś futerał nie przechodzi na spadkobiercę, przeto i upiększenia i ulepszenia nie przejdą na potomstwo, zostaną indywidualnymi epizodami, nie stanami społecznymi.

Rozumie się samo przez się, że usuwając możliwość dziedziczenia własności nabytych, wypowiada się przekonanie, iż rozwój gatunków nie może być skutkiem przenoszenia tych własności, lecz musi mieć źródło inne, jedyne, które pozostaje, t. j. dobór naturalny. Ale dobór naturalny ma zdaniem Weismana daleko ważniejsze jeszcze znaczenie: jest on nietylko jedynym i wyłącznym czynnikiem w rozwoju gatunków, lecz stanowi też *conditio sine qua non* ich zachowania, chroni je przed zepsuciem i upadkiem w niższe formy zwierzęce. Gdyby bowiem nie było doboru naturalnego, mógłby nastać proces nazwany przez Weismana »panmixis« fenomen, sprowadzający organiczną dezintegrację, równorzędną z najstraszniejszym zwyrodnieniem. Przypuśćmy mianowicie, że niema walki o byt, niema tego czynnika, który zabija wszystkie indywidua słabe, zostawiając przy życiu tylko silne, lub lepiej przystósowane osobniki. Organizmy słabe, które już teraz nie giną, mogą wchodzić w związki z indywiduami silnemi płci innej — a bezpośrednim tego skutkiem musi być fakt, że wszystkie narządy, zamiast się doskonalić, w szeregu generacyi, co miałyby miejsce przy kojarzeniu się osobników lepiej rozwiniętych powoli się będą psuły aż wrócą do pierwotnej najniższej formy. W ten sposób narządy nie tylko nie wydoskonalą się z biegiem czasu, lecz owszem cofać się będą po szczeblach na dół, aż osiągną dawną nierozwiniętą postać.

Niektóre częściowe objawy takiego zgubnego procesu spotykamy już w najzwyklejszych znanych ogólnie zjawiskach. Tak np. ludom dzikim, które żywią się surowem lub źle gotowanym mięsem, a nie mają amerykańskich dentystów na usługi, potrzebne jest do życia całkowite i zdrowe uzębienie. Dlatego umierają wśród nich wszyscy ci, których natura obdarzyła słabem uzębieniem, a żywi opatrzeni w silnie uzbrojone szczęki, kojarzą się w związki małżeńskie i mają dzieci z podobnie lub silniej rozwiniętym aparatem zębowym. W ten sposób organ ten wydoskonalą się, wzmacnia nieustannie. Człowiek cywilizowany może natomiast żyć bardzo dobrze, jeśli nawet ma chore lub sztuczne zęby; pomaga mu w tem bądź to nowożytna sztuka kucharska, która umie z mięsa sporządzać pasztety, dające się spożyć bez gryzienia, bądź też niezliczona ilość fabrykantów fałszywego uzębienia, których dziś na każdym kroku spotykamy, a którzy, jak wykazuje statystyka, dostarczają obecnie Anglii 1¹/₂ miliona fałszywych zębów rocznie. To też w społeczeństwie dzisiejszem żyją obok siebie ludzie ze zdrowem i chorem uzębieniem, a skoro przypadkiem połączą się osobniki tych dwóch kategorii, przenosi się na potomstwo zwykle nie pozytywny, lecz właśnie negatywny pierwiastek; w ten sposób u ludzi cywilizowanych organ ten zamiast się z biegiem czasu wydoskonaląć, jak się to dzieje u ludów dzikich, ciągle się psuje i karłowacieje.

Zważmy, że proces ten tyczący się w naszym przykładzie drugorzędnej tylko części organizmu, ogarnia i inne wszystkie lub choćby najważniejsze narządy — a zrozumiemy, że zachowanie przy życiu osobników mniej przystosowanych, umożliwiając ich związki małżeńskie z osobnikami lepiej przystosowanymi, wywołać musi degenerację i wsteczny rozwój gatunków. Widzimy zatem, jak olbrzymiego znaczenia nabiera dobór naturalny na podstawie podobnych rozważań; jest on już nie tylko przyczyną organicznego rozwoju, ale także jedynym środkiem ochronnym przeciw wstecznemu rozwojowi i powrotowi gatunków, jedyną zasadą, w imię której antropoidy nie stają się monerami, ludzie nie wracają do małp.

W ten sposób zatoczyła teoria organicznego rozwoju niezmiernie charakterystyczną krzywą. Zrazu jest ten rozwój skutkiem dziedziczenia własności nabytych, potem wynikiem działania dwóch czynników dziedziczności i doboru naturalnego, w końcu wytworem tylko tego ostatniego, przy czem dobór naturalny uważany jest nietylko za źródło rozwoju, lecz wogóle za warunek istnienia gatunków.

Ta właśnie ostatnia forma teoryi rozwoju organicznego wywarła silny wpływ na socyologię, Najmłodszy bowiem przedstawiciele biologicznej socyologii, przywłaszczwszy sobie doktrynę Weismanna, usiłują stworzyć z niej potężne narzędzie dla zwalczania najślawniejszych i dotąd dominu-

jących teoryj społecznych. Rozumują oni w sposób następujący: Gdyby dziedziczenie własności nabytych było możliwe, myśl o postępie w warunkach wyłączających walkę o byt byłaby dopuszczalna, skoro jednak dziedziczność nabytych własności upada, skoro wszystkie czynniki rozwoju streszczają się w jedynym tylko doborze naturalnym, skoro nadto dobór ten jest warunkiem ochrony przed upadkiem i zwyrodnieniem, przeto widocznie ta krwawa i okrutna walka, która ogarnia świat żywych istot i niszczy osobniki słabsze, jest niezbędnym warunkiem społecznego rozwoju, haraczem, którym ludzkość okupywać musi postęp a nawet równowagę grup społecznych. Trzeba zatem koniecznie w jakikolwiek sposób wspierać tę walkę społeczną, śledzić bezustannie krwawe zapasy w świecie żywych istot, bo od nich jedynie zależy rozwój i życie ogółu.

Morselli, Novicoff, Gumpłowicz, Vaccaro i wielu innych, oto pisarze, którzy mimo wielu zasadniczych różnic, zgadzają się na punkcie tej apoteozy doboru naturalnego; przedewszystkiem jednak wspomnieć tu należy dwóch, którzy z powyższych przesłanek wyciągnęli najbezwzględniejsze i najcharakterystyczniejsze wnioski: są to Ammon i Kidd. W ogólnie znanem dziele p. t. »Porządek społeczny i naturalne jego podstawy« głosi Ammon za przykładem Weismanna wszechpotęgę doboru naturalnego i usiłuje wykazać, że czynnik ten działa w ludzkości tak samo jak wśród

niższych gatunków. Walka o byt wrze w społeczeństwie ludzkim, tak jak i w świecie zwierzęcym, jak tu, tak i tam zwyciężają w niej najlepsi i najsilniejsi, marnieją i giną słabi.

A ponieważ w walce społecznej zwycięzcami są bogaci, kapitaliści i posiadacze, zwyciężonymi biedni i robotnicy, przeto nie waha się Ammon twierdzić i dowodzić, że silny i bogaty, słaby i biedny to synonimy, czyli innemi słowy, że bogaci to ludzie zdolni i utalentowani, biedni to głupcy. Klasyfikując dalej wszystkich ludzi odpowiednio do zdolności dochodzi do wniosku, że dzielą się oni według prawa krzywej drugiego stopnia albo paraboli. Szczupła jest ilość bardzo uzdolnionych, liczba osobników o mniejszym talencie powoli wzrasta, największą wartość przedstawia cyfra indywidualów obdarzonych średniemi zdolnościami; od tego punktu zaczyna znowu powoli opadać aż wreszcie ilość głupich odpowiada liczbie najmniejszej równej mniej więcej ilości geniuszów. Taki sam zaś przebieg przedstawia linia krzywa mierząca dochody. Najmniejszą jest ilość nadzwyczaj bogatych, miliardarów, liczba osobników obdarzonych mniejszym majątkiem powoli wzrasta, największą wartość przedstawia liczba średnio zamożnych; od tego punktu zaczyna znowu powoli opadać, aż wreszcie ilość najbiedniejszych proletaryuszów odpowiada liczbie najmniejszej równej mniej więcej ilości Krezusów. A zatem, kończy z tryumfem Ammon — ta zgodność do-

chodów z linią zdolności dowodzi wyraźnie, że bogactwo jest nieomylnym korrelatem intelektu, posiadanie koroną talentu: każdy człowiek tem jest bogatszy, im większą posiada inteligencyę.

Ale najprostsze już rozważanie budzi wiele wątpliwości, co do wartości tego rodzaju wnioskowania. Pomińmy nawet już to wszystko, co dałoby się powiedzieć przeciwko temu parallelizmowi linii zdolności z linią dochodów; parallelizmu takiego w istocie wcale nie ma, bo kiedy ilość ludzi mniej lub średnio uzdolnionych powoli się zmniejsza, wzrasta równocześnie liczba mniej niż średnio zamożnych; ilość zaś biedaków nie równa się bynajmniej ilości miliardów, lecz jest niesłychanie większą. Ale pomińmy to nawet, to przyznać jednak musimy, że obie przez Ammona wykreślone krzywe, wtedy dopiero nabiorą znaczenia pewnego dowodu, skoro się wykaże, że indywidua przedstawione kolejno po sobie następującymi punktami obu krzywych są w obu razach jednymi i tymi samymi indywiduami, czyli innemi słowy, jeśli się wykaże, że kolejno po sobie następujące klasy posiadaczy składają się z tych samych jednostek, co kolejno następujące po sobie klasy zdolności. Takiego jednak dowodu Ammon jak widzieliśmy nie przeprowadza, a bez tego dowodu obie jego krzywe nic nie mówią i nie upoważniają do całego wnioskowania, które ma odpowiedzieć na kwestyę sporną. Można nawet dostrzedz, że autor sam czuje niedostateczność swej

metody, trudzi się bowiem gromadzeniem innych argumentów. Zapewnia więc na podstawie zebranych przez Candoll'a cyfr, że rodziny bogate więcej wydały uczonych i artystów niż biedne. Opowiada, że mierzył kilkaset czaszek ludzi bogatych i biednych i znajdował zawsze u pierwszych korzystniejszą budowę niż u drugich. Przedewszystkiem więc czaszka bankiera odznacza się wielką obszernością, co dowodzi jasno, że przewyższa on pod względem inteligencji innych śmiertelnych. Ale — ba! Amnon mierzył dokładnie kapelusze bogatych i biednych, wypytywał się o to wielu kapeluszników i każdy z nich zapewniał go, iż kapelusze bogatych są zawsze większe niż biednych. Czyż trzeba wam więcej dowodów, na podstawie których moglibyście wszystkim robotnikom na kuli ziemskiej wystawić patent umysłowej impotencji, a całą burżuazyję obdarzyć świadectwem wyższego uzdolnienia? A zatem — kończy Amnon — bogacze są to ludzie pełni talentu, biedacy to głupcy, całe więc ludzkie społeczeństwo podlega ściśle pod względem budowy i rozwoju owemu wielkiemu biologicznemu prawu doboru naturalnego, bo w społeczeństwie tem tryumfują lepsi i silniejsi, a tryumf ich jest wyłącznym czynnikiem i istotnym warunkiem postępu. A jednak wystarczy choćby najpowierzchniej rozejrzeć się po świecie, by obalić twierdzenie o rzekomej wyższości umysłowej, którą Amnon z taką przesadą, niby na podstawie antropolo-

gicznego prawa przypisuje klasom posiadającym. Nie przyjmując nawet tezy wręcz przeciwnej, popartej przez tak wybitnych pisarzy jak Adam Smith a od niedawna i Bücher, według której bogaci nie dlatego mają bogactwa, że są inteligentni, lecz raczej przeciwnie, dlatego są inteligentni, że mają bogactwa, uznać jednak należy za pewne, że jest w niej więcej prawdy, niż w słowach Ammona. Za dowód posłużyć może choćby ten sam fakt, przy którym tenże autor tak chętnie się zatrzymuje, to mianowicie zjawisko, że rodziny możne i bogate absolutnie i względnie większą wydały liczbę uczonych i artystów. Przyczyna bowiem tego zjawiska tkwi poprostu w tem, że tylko rodziny zamożne mogą dać swym synom stosowne do zajmowania się czystą sztuką wychowanie; to znaczy, że talent może rozkwitać tylko w ciepłej atmosferze bogactwa, albo innemi słowy, jeśli nie talent to przynajmniej możność rozwijania go jest skutkiem a nie przyczyną posiadania.

Iluż to znakomitych pisarzy zawdzięcza swe odkrycia jedynie i wyłącznie dobrze naładowanej sakiewce. Leverrier przywłaszczał sobie systematycznie dokonane przez asystentów odkrycia asteroidów; a skoro go w tej kwestyi pytano o wyjaśnienie, odpowiedział cynicznie, że są one dobrze zasłużoną jego własnością, za każde bowiem odkrycie płacił po 1000 fr. Z drugiej strony wystarcza najmniejsza bodaj znajomość historii prywatnego majątku, aby najnielitościwiej osądzić

teżę uważającą bogactwo za zdobycz i nagrodę wyższego intelektu. Ja dodam w tym względzie jeden tylko przykład: Pewien niewolnik indyjski, stojący na straży przed świątynią Siwy, wylupał raz w nocy olbrzymi dyament stanowiący oko boga, uciekł z tym kosztownym klejnotem do Azji, przekroczył rosyjską granicę i dostał się do Petersburga, gdzie mu się udało sprzedać ten dyament cesarzowej Katarzynie za milion rubli. Od tego człowieka wywodzi się sławna rosyjska rodzina Lazareff. I pytam się teraz, gdzie ten talent, który zdobył to bogactwo? Kto ośmielił się zaprzeczyć, że nie zdolności, lecz kradzież była w tym razie źródłem posiadania? A jakże łatwo byłoby podać inne przykłady i uogólnić wnioski!

Lecz jeśli w naturze społecznego porządku już leży — ciągnie dalej Amnon — że lepsze i bardziej przystosowane pierwiastki zwyciężają, to nie znaczy to bynajmniej, jakoby nie można było tego samego rezultatu osiągnąć drogą roztropnych usiłowań ludzkich. Owszem jest to nawet w pewnych warunkach konieczne. Jeśli rozwój i równowaga społeczeństwa zależy od tryumfu najsilniejszych, tj. najbogatszych, przeto musi organizacja państw dążyć do podniesienia ich liczby (zwłaszcza, że działanie pewnych wpływów biologicznych przyspiesza ich wymieranie); musi zwycięstwo ich wspierać i przyspieszać, musi wreszcie wszelkimi sposobami przyczyniać się do zniszczenia zdegradowanych i uboższych klas. Amnon nie cofa się

nawet przed wyliczeniem całego szeregu ku temu celowi zmierzających środków i proponuje następujące: Pierwszym takim środkiem będzie więc zdaniem Amnona, wprowadzenie znacznych pośrednich podatków na najpotrzebniejsze do użytku artykuły; prowadzi ono bowiem do ochrony klas bogatszych a stacza cały ciężar podatkowy na ubogie masy ludu. Należy przytem powiększyć emisyę publicznych i rządowych papierów, ponieważ tą drogą powiększa się zastęp uprzywilejowanych, którzy spędzają wesoly żywot między ucinaniem kuponów a podniosłem badaniem prawdy. Państwo powinno dalej odebrać administracyjne i polityczne prawo głosowania proletaryuszom, ponieważ są oni najniższym i nieczystym pierwiastkiem mieszczańskiego społeczeństwa. Ze strony państwa również powinny doznawać opieki małżeństwa zawierane przez indywidua tejże samej klasy, bo takie tylko oparte są na doborze najlepszych i mogą dalej rozmnażać najwyszukańsze ich przymioty a temsamem usuwać biologiczne niebezpieczeństwo »panmixis«. Nie dość na tem, musimy hołdować zasadzie prześladowań rasowych, gdyż zwracają się one zawsze i niezawodnie przeciwko rasom niższym i sprowadzają ich zanik. Musimy uświęcić instytucyę wojny, gdyż kończy się ona zawsze wyniszczeniem słabych. Zdaniem Amnona giną na polu bitwy naprawdę tylko nędzni i niezdolni; szlachetniejsi i zgrabniejsi zawsze się mogą zachować. Jak gdyby

granat zmiatający całe szeregi walczących mógł i umiał wybierać ofiarę. Jak gdyby to nie było bluźnierstwem mniemać, że najpiękniejszy kwiat Italii Gottfried Mameli, w barbarzyński sposób na polu walki stracony stoi w szeregu niezdolnych i zdegenerowanych, a dzielni nasi generałowie, którzy pod Abba Garina ucieczką tylko zdołali uniknąć śmierci, to właściwi owi nadludzie, duchy wybrane! Nie trzeba sprostowania — twierdzenie to wspominać, to znaczy je zbijać.

Jeszcze bardziej zdumiewające wnioski wyciągnął z doktryny Weismanna Kidd w sławnej książce o rozwoju społecznym. Wychodząc z założenia iż rozwój a nawet i stan równowagi społecznego agregatu, osiągnięty być może tylko za pomocą doboru naturalnego lub walki o byt — spostrzega Kidd, że interesy indywidualum i społeczeństwa są zasadniczo sobie przeciwne, tylko bowiem za cenę okrutnej walki między jednostkami, walki dążącej do zniszczenia niezliczonej ilości żyjących okupić można rozwój społeczny, tą tylko ofiarą uratować można społeczeństwo od wstecznego postępu. Podczas gdy więc wolna konkurencja, stanowiąca najżywotniejsze źródło walki o byt jest w społeczeństwie warunkiem najwyższego rozwoju a nawet i równowagi, każda zaś jednostka lub przynajmniej ich większość skłania się ku przyjęciu socjalizmu, który a priori wyłącza wszelką konkurencję, przeto głos rozsądku niezliczonej większości domaga się urządzeń

socjalnych nie dających się pogodzić z dalszą egzystencją ludzkiego gatunku. Z drugiej strony zwycięzcy w walce społecznej mogliby dla własnej korzyści nadużywać wobec pokonanych swego zwycięstwa, co doprowadziłoby niewątpliwie do powstania uciśnionych i do zupełnego rozkładu społeczeństwa. Widzimy przeto, że i pod tym względem rozsądek wiedzie ludzi do antyspołecznego działania. Skoro zaś rozsądek sam wiedzie człowieka do działalności wrogiej interesom gatunku, przeto jedynym środkiem, za pomocą którego możnaby go od tej działalności powstrzymać, będzie apelacja do takich motywów, które leżą poza obrębem rozumu, słowem, odwołanie się do wyższej od rozumu sankcyi. Taką sankcją niezrównanie skuteczną, do której odwołać się należy, jest w istocie religia; grożąc bowiem człowiekowi nadnaturalnymi karami, powstrzymuje go od działalności szkodliwej społeczeństwu i utrwała temsamem znaczenie normy życiowej, która odpowiada najlepiej immanentnym prawom rozwoju społecznego. Religia jest zatem owem głównym spoidłem ludzkiego agregatu, opatrnościową siłą, która powoduje stopniowy jego rozwój i chronić go może przed zwyrodnieniem i wymarciem. To też nie należy się temu dziwić, że uczucia religijne z dnia na dzień potężnieją i że właśnie te państwa są w stanie największego rozkwitu, w których religia najwyższego doznaje poszanowania. W ten sposób dochodzi Kidd do wręcz przeciwnie-

go wniosku niż Buckle; bo podczas gdy ten ostatni uważał moralność za stałą, a w inteligencji dopatrywał się źródła ludzkiego rozwoju, widzi Kidd w rozsądku i inteligencji przeszkodę społecznego postępu i twierdzi, że zależy on tylko od dobroczynnych wpływów moralności i religii.

Widzimy zatem, że biologiczna teoria nabiera w dziele Kidda niezmiernie doniosłego znaczenia i w zastosowaniu tem rozwiązuje jednym zamachem nadzwyczaj trudne lub powiedzmy lepiej dwa najtrudniejsze problemy naszego stulecia socjalizm i religię. Kidd twierdzi właściwie, że na nic się nie przyda zwalczanie socjalizmu w imię etycznych i ekonomicznych idei, gdyż na tem polu zawsze poniesiemy klęskę. Na nic się nie zdadzą iluzye, jakoby socjalizm mógł dać ludzkości organizację moralną, ekonomiczną i polityczną, wyższą niesłychanie od tej, jaką jej dać może nierówny i niestosowny ustrój kapitalistyczny. Nie potrzebujemy jednak celem zwalczania socjalizmu szukać moralnych i ekonomicznych dowodów, potępia go nieodwołalnie sama już biologia; położyłby on koniec walce o byt, ograniczyłby dobór naturalny, usunąłby zatem te dwa najważniejsze i najwyższe warunki istnienia i równowagi gatunku, sprowadziłby z konieczności rozkład społeczeństwa mieszczańskiego i cofnąłby je do pierwotnej formy wspólnego pożycia. Nie potrzebna też jest obrona religii w imię objawienia i dogmatu, gdyż w badaniach biologicznych znajduje

ona nie dające się zbić uzasadnienie, jako instytucja konieczna, która ma przepisywać indywidualom sposób życia najzgodniejszy z wymaganiami społeczeństwa. To też biologia niszczy z tryumfem teoryę przewrotu a utrwała wiarę religijną. Czyż możnaby dziwniejszy osiągnąć rezultat z tych suchych i zimnych badań przyrodniczych? Ale i ta na pierwszy rzut oka tak ponętna bio-socjologiczna konstrukcja Kidda polega właściwie na całym szeregu twierdzeń, z których jedno mylniejsze jest niż drugie. Mylne jest zapewnienie, że socjalizm usunąłby walkę o byt. W socjalistycznym ustroju ekonomicznym walka o byt wcaleby nie znikła, owszem — po raz pierwszy uzyskiwałaby wolną i doskonałą arenę; bo wtedy występowałyby do walki indywiduala w pełnym rozwoju zdolności nie skrępowane i zmieszane jak dzisiaj szkodliwym wpływem stosunków. A skoro już raz obalone zostało twierdzenie, jakoby socjalizm usunął walkę o byt, wtedy nieprawdą jest też, że nie da się on pogodzić z warunkami równowagi społecznej i że dlatego interes indywidualów lub przeważnej ich większości, zmierzając do stworzenia socjalistycznego ustroju jest zasadniczo przeciwny interesowi istoty społeczeństwa. Skoro się zaś raz zaprzeczyło istnieniu rozbratu między interesami jednostki a ogółu, przeto nieprawdą już jest jakoby potrzeba było jakiejś poza rozumem istniejącej sankcyi, by zmusić człowieka do działania zgodnego z wymaganiami społeczeństwa.

Nie trzeba chyba wcale osobno dowodzić, że teoria, według której sankcja religijna zmuszać ma człowieka bezustannie do działania wbrew własnemu interesowi, prowadzi do wniosków niepokojących każdego, kto wraz z Kiddem pragnąłby zachowania wiary. Nie można bowiem przypuszczać, by ludzkość ciągle ulegała tak przedziwnej iluzji, by się po wieczne czasy dała uwodzić podszeptom religijnych przekonań, by w istocie działała pod ich wpływem wręcz przeciw własnej korzyści. Jeśli zatem religia jest zdaniem Kidda niczem więcej jak złudą narzuconą człowiekowi po to, by działał wbrew własnym interesom, przeto zjawia się sam przez się konieczny wniosek, że istnieć ona może tylko chwilowo, w czasach nieświadomości i barbarzyństwa, a zniknie z pewnością skoro tylko inteligencja ludzka rozwinie się do tego stopnia, iż uświadomi sobie własne korzyści, oraz niezbędne dla ich osiągnięcia normy życiowe. Najwięcej błędów tkwi jednak w podstawnych przesłankach biologicznych, których zarówno Kidd jak Amnon i inni pisarze tej szkoły używają za podstawę do swych rozumowań. Teoria Weismanna, orzekająca, że dziedziczność nie odnosi się do własności nabytych, została dziś jak wiadomo na podstawie obserwacji i experimentu obalona, sam jej twórca widział się zmuszonym do całego szeregu ustępstw i ograniczeń, które ostatecznie dogmat jego podkopały. Nie pora tu wymieniać zarzuty; wystarczy wspomnieć,

że dziedziczność nabytych własności znajduje w życiu ludzkości najbardziej przekonywujące dowody. Tak np. znane jest zjawisko, że mongoli rodzą się z krzywymi nogami i pochylonym tułowiem, które to własności zawdzięczają przyzwyczajeniu do ciągłej jazdy konnej, panującej już od wieków wśród tych niespokojnych plemion koczowniczych. Nawet prawodawstwo rozmaitych ludów w różnych czasach dowodzi, że własności nabyte przenosić się mogą z pokolenia na pokolenie. Najjaśniejszym tego rodzaju objawem jest np. instytucja indyjskich kast lub średniowiecznych cechów. Oto instytucje te wymagają, by syn zajął się temsamem rzemiosłem co ojciec — myśl oparta na milczącym założeniu, że dziecko, którego ojciec przez długoletnie wykonywanie pewnego rzemiosła wyćwiczył odpowiednie organa, odziedziczy po ojcu te przymioty i posiadać będzie korzystne dla danej pracy warunki. I dzisiaj jeszcze admirałowie angielscy wybierają przy poborze do marynarki najchętniej synów żeglarzy, gdyż doświadczenie nauczyło ich, że posiadają oni przyrodzone fizyczne warunki, szczególnie korzystne dla powołania żeglarza. To wszystko przeczy najwyraźniej dogmatowi, który twierdzi, jakoby dziedziczność nabytych własności była niemożliwą. Nie możemy naturalnie posunąć się zbyt daleko i mniemać, że własności nabyte zawsze i w każdym wypadku są dziedziczne, bo gdyby to było prawdą, nastąpiłoby musiało rozbitcie ludzkości

w ścisłe od siebie ograniczone i stężale kasty. Bynajmniej syn nie musi według nieubłaganego prawa natury postępować w ślady ojca; często może przy pomocy talentu i pilności przełamać ciasne granice, w jakich zamykała się czynność rodzica i wyższe zdobyć stanowisko. Luter, syn górnika, Kant syn siodlarza, Giotto owczarza — protestują przeciw tej beznadziejnej teorii o losie przeznaczonyj dziedziczności. Ale pomimo to przyznać trzeba, że w wielu wypadkach własności nabyte przechodzą na potomstwo, że zatem najwyższa zasada Weismanna nie da się bez zastrzeżeń do rodu ludzkiego zastosować. Równie błędną chimerą są ponure obrazy skutków »panmixis«. którymi Weismann na pewien czas ludzkość przeraził. Aby wykazać płonność tych obaw, dość wspomnieć, że walka o byt przygniała tylko nieliczną część świata organicznego, że zatem we wszystkich gatunkach, a zwłaszcza w szeregach ludzkości pozostaje przy życiu wielu jeszcze słabych lub nadmiernie osłabionych. Stąd wniosek, że »panmixis« nie jest bynajmniej zjawiskiem wyjątkowem, zrodzonym w anormalnych, patologicznych warunkach, lecz fenomenem zwyczajnym istniejącym w każdej chwili i w każdym gatunku organicznym. Gdyby zatem zjawisko to miało w istocie sprowadzić tak nieszczęsne skutki, jakie sobie Weismann wyobraża, musiałyby wszystkie gatunki przedstawiać widok beznadziejnego zwyrodnienia, a rozwój wsteczny byłby ogólnem pra-

wem w organicznym świecie. Tymczasem dzieje się jak sam Weismann przyznaje, rzecz wręcz przeciwna; we wszystkich objawach życia panuje błogosławione prawo postępowego rozwoju. To też wszelkie teorye biologiczne, stawiane przez nowoczesnych socyologów na podstawie tak daleko idących i ważnych twierdzeń musiały być błędne i chwiejne; z chwilą, gdy się zapadły fundamenty, runął też w gruzy cały misternie zbudowany gmach socyologów.

Tych dwóch najbardziej znanych pisarzy przytoczyłem jako przykład, który ma być nauką i przestrogą, że nie wolno nam stwarzać sobie bóstw biologicznych, bo są one niejednokrotnie tylko fetyszami, którym bezkrytycznie i kosztem rozumu stawiamy ołtarze. Prawda, że wszelka nauka ma prawo korzystać z wyników, do jakich doszły inne, ale wtedy tylko, gdy chodzi o wyniki ściśle dowiedzione, a nie o nieuzasadnione hipotezy. Nie zapominajmy, że nawet teorii Darwina daleko jeszcze do niezbitej prawdy. Przypomnijmy sobie, że przed 4000 laty w egipskich płaskorzeźbach wyryte twarze ludzkie zupełne wykazują podobieństwo do rysów twarzy dzisiejszego człowieka i uśmiechają się złośliwie na widok usiłowań nowoczesnych biologów, pragnących ludzkość podciągnąć pod prawa zwierzęcego rozwoju. Przypomnijmy sobie głosy dzielnych socyologów, jak Colajanni, Tarde i wielu innych, którzy przestrzegają przed zbyt pospieszną de-

dukcyą socyologiczną z niedojrzałych biologicznych przesłanek.

Ale przedewszystkiem posłuchajmy słów dwóch przedstawicieli fizycznych i biologicznych nauk, uczonych, których wcale podejrzyc nie można o to, aby chcieli zmniejszać znaczenie wyników, do jakich owe nauki doszły, lub usług, jakie socyologii wyświadczyć mogą. Pearson profesor matematyki stosowanej w uniwersytecie londyńskim i członek królewskiej akademii zapewniał niedawno, że teorye o rozwoju organicznym nie zdobyły sobie jeszcze tej ścisłej ilościowej formuły, która jedynie podnieść je może na stanowisko prawd naukowych; że zatem socyologowie, budując na nich swe teorye właściwie na lodzie budują. A równocześnie prawie przestrzegał Grasi, profesor anatomii porównawczej w uniwersytecie w Rzymie, uczony sławny ze swych odkryć w dziedzinie malaryi, by socyologowie nie używali teoryi fizyologicznych i biologicznych, które są niczem więcej jak próbami i hipotezami pełnemi wątpliwości a pozbawionemi zgoła dowodów — za pewną i niezachwianą podstawę do swych społecznych doktryn i filozoficznych systematów. Niechże więc te dwie mądre przestrogi pochodzące z różnych, lecz za to równie cenionych źródeł, powstrzymają socyologię na tej równinie pochyłej, na którą niebacznie wstąpiła, a na której grozi jej niebezpieczeństwo, że albo się od upragnionego celu oddali albo go nigdy nie dopnie.

WYKŁAD PIĄTY.

Socyologia na podstawie ekonomicznej.

Natura pewnego zjawiska objawia się już w stanie embryonalnym i niedoskonałym, zwykle jednak poznajemy ją wtedy dopiero, gdy zjawisko dojdzie do pełnego rozwoju i wspaniałych rozmiarów, gdy rzuca się w oczy i zwraca na siebie uwagę. Najlepszym tego przykładem jest prawo rozwoju organicznego; można je było odkryć równie dobrze i w naszym klimacie, gdzie występuje niemal na każdym kroku — a jednak Darwin i Wallace wykryli je tam, gdzie fauna daleko bogatsza w gatunki i formy. Wtedy bowiem dopiero, gdy zjawisko występuje z pewną siłą, może wyrzucić większe wrażenie, skupić na sobie uwagę badaczy, stać się przedmiotem studyów. Ta sama teoria mogłaby znaleźć dowody i w tej sferze, gdzie zjawisko w skromniejszej i bardziej ograniczonej występuje formie, ale wtedy jest ono za słabe, za mało rozwinięte, by dać po-

budkę do szukania dowodów. O słuszności powyższego spostrzeżenia przekonywa najwyraźniej historia socjologii lub raczej najświetniejszy jej epizod: odkrycie ekonomicznej podstawy zjawisk społecznych. Biorąc rzecz abstrakcyjnie, powiedzieć się musi, że odkrycie takie dokonane być mogło przy pomocy prostej logiki i obserwacji — w każdym momencie historii. A jednak przez okres przeszło kilkusetletni, w którym stosunki społeczne tkwiły jeszcze niejako w głębi na ukrytym tle historii, kiedy rachityczny przemysł i podupadłe rolnictwo wegetowały w cichem ustroniu, nie miano pojęcia o ekonomicznym podłożu społecznego stanu i zadawalniano się łąčeniem go w związek przyczynowy z intelektualnym lub biologicznym czynnikiem. Dawno wprowadzie istnieli już myśliciele, którzy rozumieli tę doniosłą prawdę. Arystoteles w starożytności, Harrington wśród młodszych, a z najmłodszych Romagnosi, mogą służyć za przykład tych, którzy uznawali już mniej lub więcej wyraźnie zależność społecznego stanu od polityczno-ekonomicznych stosunków. Ale pojedyncze te twierdzenia nie przyjęte przez ogół, nie skrytalizowane w formę ścisłych naukowych dowodów, przytłumione zostały prądem zupełnie odmiennych panujących wówczas poglądów filozoficznych. Dopiero z jutrznią nowoczesnego życia, skoro pod wpływem czynników takich, jak niesłychany rozkwit różnych gałęzi przemysłu, wzrost kapitalizmu, nowo powstające przedsię-

biorstwa i rozszerzenie kredytu, majątki prywatne wzrosły do niesłychanych rozmiarów, skoro się okazało wyraźnie i po niezliczone razy, że w nich leży potęga, w ich ręku losy narodów, wtedy dopiero zrozumiano, że polityka państw, wielkie dziejowe stanowiska i zasadnicze prądy ogólnej moralności nie zależą tylko od nadzmysłowych idei socyalnych, lecz wyrastają raczej z prozaicznej gleby ekonomicznych stosunków. Rozumie się, że światło tej prawdy zabłysło też po raz pierwszy w tym kraju, w którym najwcześniej nowożytne stosunki ekonomiczne uzyskały imponujący, wspaniały stopień rozwoju t. j. w Anglii.

Marx i Engels, którzy podczas długiego pobytu na wygnaniu w Wielkiej Brytanii ujrzeli z bliska wszechpotężną moc współczesnego kapitalizmu i wnikać zdołali w najtajniejsze jego prawa, ujęli pierwsi tę nową socyologiczną prawdę w piękną i jasną formę. W sposób klasyczny wyraził ją Marx w przedmowie do ogłoszonej 1859 r. »Krytyki ekonomii politycznej«: »W społecznej produkcyi wchodzą ludzie w pewne, konieczne, od woli niezależne stosunki, stosunki produkcyi, które są w związku z danym stopniem rozwoju ich materyalnych sił produktywnych. Ogół tych stosunków produkcyi stanowi ekonomiczną strukturę społeczeństwa, realną podstawę, na której wznosi się gmach prawnopolityczny i której odpowiadają pewne formy społecznej świadomości. Od sposobu produkcyi w życiu materyalnym za-

leży wogóle proces społecznego, politycznego i duchowego życia».

To samo powtarza Engels w niektórych swych pismach. Ale przyznając obu autorom chwałę stworzenia nowego prądu w socyologii, należy pamiętać o tem, że postawili oni tę nową prawdę tylko w formie dogmatu a nie poparli go żadnym pewnym i pozytywnym dowodem. Nie troszcząc się bynajmniej o logiczne uzasadnienie swej tezy, otaczali się natomiast niezdołym wałem aksjomatów.

Na tem polega też nawiasem mówiąc, różnica i niższość tych twórców nowej szkoły socyologicznej w porównaniu z przywódcami obu pierwszej badanych kierunków. Zarówno Comte jak i Spencer nie zadowolniają się zbudowaniem intelektualnego lub biologicznego podłoża dla socyologii, lecz usiłują z nadzwyczajną skrzętnością słusność swego stanowiska udowodnić. Marx zaś i Engels wcale sobie tego trudu nie zadają; twierdzą wprawdzie stanowczo, że położenie ekonomiczne jest podstawą ustroju społecznego, albo też powtarzają nieustannie, że ekonomia polityczna jest anatomią ludzkiego społeczeństwa, ale skoro zażądamy od nich logicznego dowodu, uzasadnienia niejako tego krótkiego a tak ważnego twierdzenia, wtedy odpowiadają wyniośle: uczcie się historii a znajdziecie potwierdzenie naszej tezy. Ale odpowiedź to pod każdym względem nie wystarczająca, historia bowiem to materiał niezmiernie podatny,

który można dowolnie zginać i skrecać; daje ona równie silną broń materyalistom, jak idealistom lub zwolennikom innego intelektualnego kierunku. Dlatego odwołanie się do historii nie zastąpi nigdy miejsca logicznej, niezbitej argumentacji i nie da nigdy stanowczej odpowiedzi na pytanie, czy pewna teoria socjalna jest prawdziwa.

Czy zatem istnieją rzeczywiście w tej kwestyi takie logiczne, nie dające się zbić argumenty? Czy jest naprawdę jakaś naukowa podstawa, na której oprzećby można dowód stwierdzający ekonomiczną przyczynowość zjawisk społecznych? Oto zasadniczy problem, na który jeszcze niema odpowiedzi, a który zbadać jest mojem zadaniem. Skoro przystąpimy z uwagą do rozbioru czynnika ekonomicznego, przekonamy się, że posiada on cechy, które nadają mu w istocie górujące znaczenie w obrazie społecznego stanu ludzkości. Przedewszystkiem jest czynnik ekonomiczny w przeciwieństwie do czynnika biologicznego wspólnego całemu organicznemu światu, wyłącznie z natury swej ludzki. Wprawdzie zdołałaby może bez trudu pedantyczna drobnostkowa wiedza doszukać się w świecie zwierzęcym zjawisk wykazujących na pozór pewne dalekie pokrewieństwo z ekonomicznymi stosunkami, tak np. widząc małpę, która ułamawszy z drzewa gałąź, zdobyła orzech kokosowy, możemy z pewnym pozorem prawdy powiedzieć, że małpa jest w tej chwili kapitalistą lub że dokonała aktu akumulacji. Lecz to są

tylko naukowe sztuczki, które nie zdołają zastąpić braku prawdziwych, istotnych stosunków ekonomicznych w świecie niższych gatunków zwierzęcych. Zwierzętom brak przecie nawet zgoła podstawy ekonomicznych objawów, tj. produkcji; posiadają one co najwyżej majątek w formie przywłaszczenia sobie wolnych płodów ziemi — na tem jednak nie można budować żadnych ekonomicznych związków. W gromadzie zwierząt nie ma dalej najmniejszego śladu zjawisk takich jak wymiana, zysk, renta, wynagrodzenie. To też zupełnie uzasadnione będzie twierdzenie nasze, że czynnik ekonomiczny w najistotniejszych swych przejawach właściwy jest tylko i jedynie ludzkości i jako taki może śmiało uchodzić za podstawę zjawisk społecznych, które też istotnie i wyłącznie człowieka się tyczą.

Ale nie koniec na tem. Czynnik ekonomiczny jest prostszy niż wszystkie inne zjawiska społeczne. Nie trudno się przecie przekonać, że materialny fakt produkcji środków spożywczych, ich podział i zużycie jest bez porównania prostszy niż wszystkie inne objawy społecznego życia, jako to moralność, prawo, polityka i t. d. Że produkcja jest warunkiem życia, że produkty mają być rozdzielone między produkujących itd., to są wszystko rzeczy znane i praktykowane nawet wśród najdzikszych i najmniej okrzęsanych narodów. Natomiast zachowywanie pewnych norm życiowych, kult nadprzyrodzonych istot, prawodaw-

stwo i posłuszeństwo prawu — to zjawiska nierównie bardziej skomplikowane, których przeprowadzenie lub nawet koncepcya, wymaga już większej subtelności pojęć i wyższej kultury. A dalej: czynnik ekonomiczny poprzedza chronologicznie wszystkie inne zjawiska społeczne. Dowodzi tego już owo klasyczne motto: *primum vivere, deinde philosophari*. Człowiek musi sobie zdobyć najpierw potrzebne środki utrzymania, a potem dopiero skoro może utrzymać się na nogach, czas mu myśleć o wydawaniu praw i stwarzaniu sankcyi etycznych i t. p. To znaczy właśnie, że kwestya ekonomiczna poprzedza wszystkie inne zjawiska życia społecznego.

Rozumie się samo przez się, że pewien fakt może być prostszy niż inne, a nie musi być jeszcze dlatego ich przyczyną. Również i czasowe następstwo dwóch zjawisk nie dowodzi, aby pierwsze było przyczyną drugiego. Tak n. p. z faktu, że przez kilka lat po śmierci Cezara (jak brzmi opowieść) słońce ukazywało się blade i bez blasku, nie można jeszcze wnioskować, iż śmierć dyktatora była przyczyną tego astronomicznego zjawiska. Mimo to cechy takie jak ta, że fenomen ekonomiczny jest prostszy, niż inne fenomeny społeczne, że jest pierwszym w chronologicznem ich następstwie stanowią silną podporę dla przypuszczenia, iż w nim właśnie znajdujemy podłoże społecznego stanu.

Myśl powyższa nabierze więcej prawdopodobo-

bieństwa skoro przystąpimy do zbadania struktury tego co stanowi ów czynnik ekonomiczny. Jądrem związków ekonomicznych jest — jak wykazują przynajmniej wszystkie okresy dziejów ludzkości, absolutny, stały i nieodwołalny rozłam ludności na dwie części: mniejszość niepracujących posiadaczy i większość robotników, którzy nie posiadają żadnej własności i produkują dla wyłącznej korzyści klasy pierwszej. Otóż nawet dla tego kto nie chce badać przyczyn takiego rozłamu, czy rozdwojenia ludzkości, jasne jest conajmniej to jedno, że rozdział ten nie jest dziełem natury. Bo natura nie stwarza ludzi z przeznaczeniem *ab origine* kapitalistycznym lub proletaryuszowskim, albo jak mówi Voltaire, nie może być by jedni rodzili się z krzesłem pod siedzeniem a inni z ostrogami na nogach. Egzystencja pewnej klasy nie pracującej a żyjącej z owoców pracy tych, co całe życie dla niej trawia, może być tylko rezultatem wielkiego ekonomicznego procesu; taki proces odbiera bowiem raz na zawsze masom ludności możliwość produkcyi na własny rachunek i zmusza je do sprzedaży pracy garstce możnych kapitalistów. Badanie pozytywne zdołało też wysledzić przeszły i terażniejszy przebieg tego procesu; uczy ono, że pierwotnie masy ujarzmionych niewolników, zmuszane były do pracy przez garskę zwycięzców, dzisiaj pędzi się masy do pracy nie knutem niewoli, lecz drogą wyłącznego posiadania ziemi, roli i innych środków produkcyi.

W każdym razie różnice społeczne, przewaga klasowa i wyzysk są aktem ludzkiej przemocy a nie wolnej, twórczej przyrody. Gdyby rozłam społeczeństwa na klasę posiadaczy z jednej a robotników z drugiej strony, był wytworem kosmicznej, fatalnej i nie dającej się usunąć konieczności, jak n. p. podział 24 godzin na dzień i noc — wtedy nie możnaby naturalnie nic za lub przeciw takiemu porządkowi rzeczy uczynić i jedynym, najmędrszym stanowiskiem byłoby przypatrywać się beczynnemu skutkom tego naturalnego rozwoju. Ponieważ jednak rozłam ten jest tylko wytworem sztucznego i gwałtownego procesu, grozi przeto w każdej chwili niebezpieczeństwo, że porządek istniejący się zmieni. Obawiać się przedewszystkiem można, że liczne klasy pozabawione możliwości produkcyi na własny rachunek a zmuszone do pracy na korzyść innych, zliczą swe szeregi, przyjdą do samowiedzy swej potęgi, podniosą się i w gruzy obalą istniejący porządek. Obawiać się dalej można, że bezwzględność klas pracujących, które w nadmiernym wyzyskiwaniu ujarzmionych do ostatnich już dochodzą granic przyspieszy chwilę wybuchu. A zatem porządek społeczny oparty na wyzuciu z posiadania całych mas ludności znajduje się ciągle w stanie chwiejnej równowagi między rewolucją a zupełnym zniszczeniem, należy więc dbać o jego utrzymanie i wstrzymywać tłumy biedaków od buntu, klasy bogaczy od nadmiernej bezwzględności. Innymi

słowy trzeba stworzyć cały szereg związanych ze sobą instytucji, któreby ujęły w pewne szranki wrogie sobie klasy i wstrzymały je od działalności dla społeczeństwa szkodliwej. Pierwszym do tego celu prowadzącym środkiem są nakazy moralne; one to wstrzymują biednych od buntu a bogaczy od wybryków, grożąc karami niematerialnymi za wszelką taką antyspołeczną działalność. Nakaz moralny przybiera znów ze swej strony w różnych fazach historii rozmaite formy. W starożytności opierał się na strachu, w wiekach średnich na religii, w naszych czasach na opinii publicznej. Ale istota tych procesów pozostaje zawsze ta sama; t. j. powstrzymywanie i odwodzenie inicjatywy człowieka od postępów egoistycznych, szkodliwych społecznej gminie. Tak n. p. w interesie biednego leży rozbój i obalenie porządku społecznego. Lecz oto przychodzi kapłan i mówi: Rozważ, skoro będziesz rabował, skoro powstaniesz przeciw prawnie ustanowionemu porządkowi, wieczyste cię w przyszłym życiu czekają kary. I z obawy przed straszną groźbą uspokaja się nędzarz i poddaje porządkowi społecznemu, który go przygniata. Najrozmaitsze religie, które kolejno przez cały ciąg historii ujmowały berło w państwie duchów, dążyły uparcie do tego najwyższego celu, żadna jednak nie osiągnęła tak stanowczych wyników jak chrześcijaństwo. Bo ewangelia nie tylko grozi karami za antyspołeczne postęпки, lecz przepowiada również,

że los pozagrobowy człowieka jest wprost przeciwny jego losowi na ziemi; że zatem państwo niebieskie zamknięte dla możnych i bogatych, ubogich tylko i opuszczonych przyjmie w swe wrota. Nie można sobie wcale wyobrazić jak dalece dogmat ten przyczynił się do utrzymania wśród ludów spokoju w czasie panowania systemu prywatnej własności; bo przecie w takim razie nie mogą się biedni skarżyć na swą nędzę, skoro ona jest kluczem do państwa wiecznej szczęśliwości w raju; i mogliby raczej okazywać litość bogaczom, którzy za cenę chwilowego a przemijającego dobrobytu tracą wieczystą rozkosz poza grobem. Ale chrześcijaństwo zwraca się też do uprzywilejowanych i bogatych przypominając im obowiązek wiary i jałmużny i odwodząc ich w ten sposób od pychy, która musiałaby pogorszyć koniecznie stosunki pomiędzy klasami. To też z tego punktu widzenia okazuje się chrześcijaństwo cennym środkiem do zachowania i utrzymania w całości społeczeństwa ludzkiego.

W nowszych jednakże czasach zachwiana została powaga religii. Znikła w chwili tryumfu metody pozytywistycznej, zgłuszyły ją szkoły medyczne, które stały się katedrami ateizmu, zwątpienia i abnegacyi, głoszonych aż po najdalsze krańce kultury. A z upadkiem wiary religijnej upadła też silna podpora społecznej spójni. Lecz w chwili, gdy gwiazda religii blednie i gaśnie, rodzi się niespodziewanie nowy również skute-

czny, starożytności nieznany nakaz moralny. Jest nim opinia publiczna, która grożąc człowiekowi jednogłośnie potępieniem powstrzymuje go od występków szkodliwych dla społeczeństwa. Jeśli dziś robotnicy nie powstają przeciw istniejącemu porządkowi, jeśli kapitaliści nie posuwają do ostatnich granic swej surowości zawdzięczać to należy po części tej kolektywnej cenzurze, która tego rodzaju postępkę piętnuje a winowajców okrywa hańbą i ogólną pogardą; w ten sposób czysto moralna potęga opinii publicznej staje się silnym węzłem naszego wewnątrznie zagrożonego społeczeństwa.

Widzimy tu zatem cały szereg socjalnych zjawisk, które obejmując ogół faktów i nakazów moralnych, stoją w najściślejszym związku z ekonomicznym stanem społeczeństwa i tylko w świetle tego związku jasno wytłumaczyć się dadzą. Lecz wszelki nakaz moralny jest jako taki bezsilny i nie zdoła odwieść wszystkich ludzi od antyspołecznych postępów; zawsze bowiem znajdzie się mniej lub więcej liczna grupa jednostek, które śmieją się z kary moralnej bądźto w formie czyśca, w życiu pozagrobowym, bądź też złej noty w albumie opinii publicznej. Aby te niesforne indywidualia utrzymać w porządku, na to istnieje energiczna, ściśle zorganizowana instytucja prawo; ono wstrzymuje ludzi od szkodliwych dla społeczeństwa postępów piętnując je już nie nadmysłową lecz materyalną karą. Kiedy moralność

groziła zabijającemu nędzarzowi pozagrobową, niematerialną karą - grozi mu prawo więzieniem, podobnie jak grozi bogaczowi który przywłaszczył sobie cudze mienie lub dopuszcza się nadużyć nad swymi robotnikami.

Prawo reguluje związki rodzinne, własność, spadek, układ, słowem wszystkie stosunki, których źródłem podkład ekonomiczny. We wszystkich tych częściach rodzi się prawo ze stosunków ekonomicznych i kieruje przeważnie busolą interesów klasy posiadającej.

Dlatego to odpowiada prawo z pewnej epoki historycznej przede wszystkim interesom takiej własności, jaka wtedy właśnie posiadała przewagę; tam gdzie przeważa własność ziemską, skłania się prawo ku interesom klas posiadających grunta; tam natomiast gdzie główną rolę odgrywa kapitał uwzględnia prawo łaskawiej majątek ruchomy. Gdzie się zatem rozwiną pewne ekonomiczne stosunki tam rozwinie się natychmiast stosownie do nich prawo. Przykładem najbardziej na wspomnienie zasługującym jest wprowadzenie prawa rzymskiego do Niemiec w XV stuleciu; był to wynik nowych gospodarczych stosunków stanowiących wierną analogię do instytucji ekonomicznych w Rzymie pogańskim. Głębsze studyum prawa wszelkich znanych narodów prowadzi wogóle do zasadniczej prawdy, że tajemnicy potężnych stosunków prawnych każdego stulecia szukać należy nie w nadzmysłowych pierwiastkach, któremi

się żywi oddawna filozofia prawa, lecz w prozaicznej materyjalnej strukturze ekonomicznych związków innymi słowy, że filozofia prawa to ekonomia polityczna.

Aby zaś ustawy prawne odpowiadały swym najwyższym zadaniom t. j. aby mogły bronić, umacniać i stale utrzymywać własność prywatną — stwarza i nakreśla je wyłącznie klasa posiadająca czyli: funkcyja prawodawcza, a zatem i jej źródło potęga polityczna skupia się całkiem w ręku posiadaczy. Okoliczność to ważna z tego jeszcze powodu, że gdyby proletaryat mógł przywłaszczyć sobie władzę polityczną nie omieszkałby skorzystać z niej w celu obalenia istniejącego porządku i stworzenia sobie stosunków korzystniejszych. Dlatego warunkiem istnienia kapitalistycznego ustroju jest skupienie władzy politycznej w ręku posiadaczy, którzy mając do niej wyłączne prawo, mogą tłumy wydziedziczonych raz na zawsze od niej usunąć. Przez długi czas dąży się do tego celu otwarcie i brutalnie: najpierw oddaje się poprostu władzę klasom posiadającym a z nastaniem instytucyi reprezentacyjnych wyłącza się biednych od głosowania; następnie zaś skoro się już musi masy przypuścić do urny wyborczej, osiąga się upragniony cel tem, że pomnażając nadmierne koszta wyboru uniemożliwia się biednym zajęcie krzeseł parlamentarnych, albo wreszcie tem, że podstępny wpływ i prostym przekupstwem zdobywa się głosy ubogich klas; w każdym razie

bez względu na środki jakich się używa skutek pozostaje ten sam, jest nim wyłączenie utrzymania władzy politycznej w ręku partji posiadającej.

Ale majątek może być rozmaity stosownie do źródeł dochodu. A ponieważ każde zatrudnienie odrębne ma potrzeby i wymagania, przeto klasa posiadaczy, która w swych rękach dzierży władzę polityczną rozpada się na dwie lub kilka partji wrogich sobie wskutek radykalnego antagonizmu interesu źródeł, z jakich czerpią swe dochody. Najwyraźniejszy i największy rozbrat panuje pod tym względem między własnością ziemską a majątkiem ruchomym, gdyż pierwszej odpowiada najlepiej *status quo*, drugi natomiast pragnie postępu; następstwem tego ekonomicznego antagonizmu jest zatem rozłam polityczny na partję konserwatywną, reprezentowaną przez większość właścicieli ziemskich, oraz partję postępową czyli liberalną składającą się z kapitalistów. Ten konflikt polityczny ma opatrnościowe znaczenie dla pozbawionej władzy klasy robotniczej; każda bowiem partja, chcąc odnieść zwycięstwo nad przeciwnikiem zwraca się do ludu z propozycją sojuszu i ofiaruje w zamian ustępstwa i ułaskawienia, które wypadają ostatecznie na korzyść proletaryatu. Tem właśnie tłumaczy się fakt, że w łonie społeczeństwa rządzonego wyłącznie przez klasę posiadającą przyjąć się mogą ustawy korzystne dla mas ubogich; to wyjaśnia i tłumaczy znaczenie całego szeregu instytucji i praw zmie-

rzających do polepszenia doli ludu pracującego, poczynawszy od starożytnych praw agrarnych i seischachteji, a skończywszy na dzisiejszej organizacji wolnych stowarzyszeń i ustawodawstwie socyalnem. Źródło błękitnego strumienia demokratycznych reform, które od wieku przepływa przez nieskończony bór wolność tłumiących praw, bije w dziejowym rozłamie między oboma partjami posiadaczy i wynikającej stąd konieczności pozyskania sobie sojuszu i pomocy ludu, drogą dobroczynnych ustaw.

Streszczając to, co wyżej powiedziane, widzimy, że chwiejność kapitalistycznego ustroju, oraz ciągle nad nim wiszące widmo buntu ujarzmionej klasy wywołały konieczną potrzebę zorganizowania całego szeregu powiązanych ze sobą instytucyi, któreby miały za zadanie utrzymać w posłuszeństwie proletaryat i ująć w karby bezwzględność posiadaczy, pobudzającą zawsze klasę uciśnioną do powstania. Takim łańcucem instytucyi lub najgłówniejszemi jego ogniwami są: moralność, prawo i ustrój polityczny; a każde z tych ogniw powstaje i upada pod władzą nieprzezwycięzonych wpływów podrzędnego fenomenu ekonomicznego, który jest racyą bytu i głównym czynnikiem rozwoju danej instytucyi. Przyjrzyjmy się teraz bliżej: moralne, prawne i polityczne instytucye przedstawiają wszystkie przejawy społecznego życia z wyjątkiem ekonomicznego. Dlatego powiedzieć, że polegają wyłącznie na czyn-

niku ekonomicznym znaczy, uznać fakt ekonomiczny za podstawę społecznego stanu wogóle, albo innemi słowy socyologię tylko wtedy za naukową, jeśli się opiera na gruncie ekonomii politycznej. Myśl o genetycznej zależności stanu społecznego od stosunków ekonomicznych zatraciła w powyższem rozumowaniu ów charakter dogmatyczny jakimi ją jej twórcy w swych pismach napiętnowali i stała się udowodnioną i logicznie uzasadnioną prawdą.

Oto w najgłówniejszych zarysach nowy, tryumfujący dziś w socyologii kierunek, który ochrzczono imieniem historycznego materyalizmu. Nazwa ta w gruncie rzeczy nie ścisła, gdyż z jednej strony w prąd ten wplotły się zwolna wręcz jej przeciwne myśli socyologiczne, z drugiej i biologiczna socyologia Spencera zupełnie prawnie nosićby mogła to imię; byłoby przeto zdaniem mojem znacznie stosowniej odróżniać nową szkołę socyologiczną pod nazwą historycznego ekonomizmu. Pomijając już jednak tę zawsze mniej ważną kwestyę nomenklatury, stwierdzić musimy, że nowy kierunek przynosi bez wątpienia wiele prawdy i dowodów a przeróżne zarzuty, któremi starano się go stłumić są w znacznej części nieuzasadnione. Prawda, że niektóre wyjaśnienia i przykłady jakimi usiłowano wykazać ekonomiczny podkład społecznych zjawisk noszą rażące ślady lekkomyślności autorów, którzy odważyli się je przytaczać, Tak n. p. De Molinari, pisarz ultraliberalny i ortodoxalny jak

rzadko, mniema, jakoby jedynym powodem zaniku pierwotnego fetyszyzmu był fakt, że uznano ofiary za zbyt kosztowne i postanowiono przyjąć religię stosowniejszą, któraby od tych ofiar zwalniała. Nie koniec na tem, ten sam autor twierdzi dalej, że przejście z politeizmu na monoteizm jest wynikiem obrachunku, korzyści, t. z. nastąpiło ono dlatego, że pewnego pięknego poranku zauważyli ludzie iż jeden Bóg jest tańszy niż więcej bogów. Dla dopełnienia miarki dodaje Adams, że religia pewnego dnia ustąpi miejsca ateizmowi, bo pierwaj czy później uświadomi sobie ludzkość, iż Bóg choćby tylko jeden jedyny zawsze przysparza kosztów, które możnaby sobie z pożytkiem zaoszczędzić. Ale wybrykom takim dokonywanym na skrajnej prawicy ekonomicznej socyologii odpowiada równie nierozsądna przesada w szeregach lewicy, Engels n. p. nie waha się twierdzić, że Germanowie dlatego palili zwłoki, ponieważ mieli niezmierzone lasy, które im dostarczały tanio materiału palnego a późniejszy zwyczaj grzebania trupów przypisać należy rzadkości drzewa, spowodowanej wycinaniem lasów. Rozumie się, że rację mają ci, którzy tego rodzaju chimery zwalczają; nie mają jednak słuszności skoro twierdzą, że zniszczyli tem samem historyczny materializm, obalili tylko niesmaczne i śmieszne jego karykatury. Inni znów przeciwnicy nowego kierunku zwracają uwagę na rozliczne wpływy wrażeń natury czysto móralfnej oraz fak-

tów prawno-politycznych na stan społeczeństwa. Nikomu też nie przyjdzie na myśl przeczyć realności i sile tego rodzaju wpływów. Majestatyczne katedry do dziś dnia wzbudzają podziw śmiałą architekturą, nieśmiertelne twory ascetycznej sztuki w innych świątyniach oto pomnik, który od wieków głosi wszechmoc wpływu religijnych uczuć. One szeptały artyście natchnione pomysły, one prowadziły dłoń i pędzel malarza, one dźwięczały na harfach poetów, z nich wreszcie czerpały całe pokolenia myślicieli tę siłę, która im pozwoliła pokonać tyle przeszkód znieść trudów tyle i wykończyć w ciężkiej pracy podniosłe dzieło wiary. Ale wszystkie te fakty zwróciłyby się wrogo przeciw temu, któryby się poważył twierdzić, że czynnik ekonomiczny był bezpośrednio twórcą lub pośrednio przyczyną średniowiecznej sztuki. Na szczęście żaden zdrowo myślący człowiek nie odważy się wygłosić podobnego twierdzenia. Uczucie religijne było jedynym źródłem natchnienia twórców w wiekach średnich ale ono samo było niczem innym jak psychologicznym produktem ekonomicznych stosunków, wytworem konieczności utrzymywania w zgodzie różnych pierwiastków, które w walce o niewolny system społeczny groziły w każdej chwili zawaleniem go w gruzy. I dlatego słusznem będzie twierdzenie, że na podłożu wyższych i eterycznych produkcji duchowych, między dziwaczными blankami i fantastycznymi pi-

ramidami gotyckich katedr, wśród seraficznych obrazów świętych i ascetów, dopatrzeć się może bystre oko socyologa kabbalistycznych znaków i diabolicznych uśmiechów ekonomicznego czynnika.

Daremnie zwalczać dziś materyalizm historyczny pustymi frazesami, że człowiek nie jest już drapieżnem tylko zwierzem, że miłość grosza nie jest jedyną jego namiętnością, że nowa szkoła oznacza dobrowolne kalectwo istoty ludzkiej, gwałtowne tłumienie najszlachetniejszych jej przejawów, nieme rzucanie potwarzy na cały nasz gatunek. Prawda — odpowiemy, że dusza ludzka ma wiele rysów takich, których nie można i nie należy wywodzić z ekonomicznego i dochodowego pierwiastka; lecz nie mniej prawdą jest, że nawet najróżnorodniejsze i najwznioślejsze twory ludzkiej duszy ściśle są określone i ograniczone ekonomicznym stanem otoczenia wśród którego wzrosły. Tak n. p. prawdziwy poeta nie pisze wierszy dla zysku, gdyż poezya jest formą jego egzystencji, mimowolnym i koniecznym wyrazem jego myśli. A mimo to jest poezya każdej epoki wiernym obrazem społecznych i ekonomicznych stosunków, a najbardziej nawet wybijała fantazya poety nie zdoła przekroczyć zakreślonych przez nie granic. Najniezależniejszy nawet pieśniarz nie mógłby dziś opiewać w eposie błędnych rycerzy lub dworskiej miłości w melickiej kanzonie, a piewcy średniowieczni nie mogli

wyść poza granice państwa ascetycznej i rycerskiej muzy. Znaczy to, że człowiek w swych najbardziej nawet na pozór wybujałych twórcach jest właściwie produktem dziejowego podkładu na którym stoi, lub stosunków produkcji, wśród których życie jego przepływa.

Objaw to tak dalece prawdziwy, że dostrzec nawet można pewien rytmiczny paralelizm rozwojowy pomiędzy sztuką a stosunkami ekonomicznymi. I tak z wiekiem XIII, który przyniósł wpływ wschodu i wolność gmin, gaśnie powoli sława gotyckich katedr. Zgodnie z tem zajmują miejsce rafinowanych i ekstatycznych rysunków, obrazy o bujnym bogactwie palety; a z wiekiem XIV zjawia się barwa niebieska w miejsce czerwonej i żółtej, zmysł harmonii zanika, rzeźba i malarstwo przyjmują coraz bardziej materyalny i realistyczny charakter. Skoro następnie nowy okres przynosi niesłychaną koncentrację majątkową przybiera architektura coraz więcej wybujałe formy a przesadna barokowa ornamentyka zastępuje czystość pierwotnych linii; tymczasem w malarstwie rodzi się nieznanym przedtem gatunek portretu, jako symbol a zarazem wytwór nadmiernego bogactwa, które spowite w uroczyste draperye pragnie ogólnego podziwu i szacunku.

Mówią też niektórzy, a niedawno powtórzył to zdanie C. I. Ferraris, że system naukowy, który uważa rozwój społeczny za konieczny wytwór ekonomicznych stosunków, a nie uznaje żadnego

znaczniejszego wpływu innych czynników na wolę i działalność człowieka, wiedzie stanowczo do socjalnego kwietyzmu, fatalizmu, buddyizmu. Lecz przede wszystkim, gdyby nawet zarzut taki był słuszny, nie miałby przecie siły do obalenia rzetelnie na logice i obserwacji opartej teorii. Na szczęście jednak ten zarzut krytyczny jest nieuzasadniony; nie prawdą jest jakoby materializm historyczny prowadzić musiał do fatalizmu. Prawda, że teoria ta usuwa kategorycznie możliwość dobrowolnych reform, prawda, że raz na zawsze burzy illuzye utopistów, którzy wierzą, że zdołają w jednej chwili ogłoszeniem nowej idei moralnej lub wydaniem ustawy prawnej *ab imis fundamentis* zmienić położenie społeczeństwa. Pod tym względem zgadza się ta nowa szkoła najzupełniej z ogólną teorią rozwoju, która w najostrzejszy sposób przeczy możliwości i skuteczności dowolnych rewolucyi. Ale materializm historyczny wskazując podstawę i działanie tajemniczej sprężyny nakreśla też drogę, która jedynie wiedzie do zmiany stanu społecznego; uczy bowiem, że reformę socjalną przeprowadzić można tylko reformą ekonomicznych stosunków t. z. że prawdziwie radykalne odmłodzenie społeczeństwa, nie może się poczynać od wyższych manifestacyi w dziedzinie moralności i prawa, od ogłoszenia nowych dogmatów i nowych form politycznego ustroju, lecz tylko i jedynie od gruntownego przeobrażenia stosunków własności.

Wskazując dalej, że reformy korzystne dla klas wydziedziczonych są rzeczywiście i zawsze skutkiem walki klasowej, uczy ten pogląd robotników, jakimi środkami zdołają jedynie wymóżyć na panującej burżuazji trwałe ustępstwa; głosi wśród proletaryatu nieodwołalną konieczność łączenia się w ścisłe, zwarte falangi i zawierania chwilowych sojuszów to z jedną, to z drugą partją burżuazji, zawsze za ceną wprowadzenia w życie prawdziwie popularnych reform. Daleki więc od wszelkich buddyzmów, fatalizmów i innych gorszych jeszcze stanów, jakimi grożą jego przeciwnicy, jest ten pogląd, ta nowa doktryna właśnie negacją fatalizmu i leniwego zadowolenia.

Prawdziwie fantastyczną jest natomiast teoria pruskiego t. z. państwowego socjalizmu, którą możnaby dziś nazwać teorią japońską lub teorią patryarchalnego rządu; według niej klasy pracujące muszą z rękami w kieszeniach czekać na polepszenie doli z wielkodusznej łaski państwa, które im od czasu do czasu da jakiś śródeczek uśmierający i użyczy większej nieco płacy lub wynagrodzenia na wypadek nieszczęścia lub śmierci. Ale rozumie się nie zwalniając ich wcale od stosunku zależności, nie otwierając bynajmniej drogi do nabycia własności i swobody. Jest to teoria, która ma u nas niestety wielu zwolenników, lecz której cała mądrość polityczna zamyka się w zda-

niu pewnego toskańskiego markiza, co zwykł był mówić; biednych należy utrzymywać — w biedzie.

Nowa teoria odzwyczajają natomiast klasy robotnicze od wstecznego zadowolenia, uczy ich, że ratunek w sobie tylko znaleźć i własną tylko pracą, własną inicjatywą osiągnąć zdołają; pod tym względem nie jest ta teoria teorią rezygnacji i opieszałości lecz drogocennym fermentem walki klasowej. Większym zresztą, niż po zwyczajem w tych żmudnych zapasach z przeciwnikami, będzie tryumf teorii materialistycznego na historię poglądu, skoro przedłoży ona rozliczne dowody swej naukowej potęgi i wytłumaczy niezmierną ilość faktów, które tylko jej metodą dostatecznie wyjaśnić się dadzą. I niezliczone są już szeregi zjawisk, które pod swoim zebrała sztandarem; a i współczesne społeczeństwo mieszczańskie, choć się czuje znieważone niejako tą nową teorią z dnia na dzień nowych faktów i silnych jej dostarcza dowodów. Z każdą chwilą wzrasta liczba walczących w pierwszej straży zapasników; już w Niemczech Kautsky i Weisegrün, w Ameryce Adams, w Anglii Rogers, w Rosyi Struve, w Belgii De Greef, we Włoszech Asturo Contento, Enrico Ferri, Groppali, Labriola, Mellusi i wielu innych dostarczyli nowej teorii wielce pokaźnego zapasu pism uwag i rozważań. Prawda, że w niejednej z tych publikacji zbyt wiele jeszcze niedojrzałych i nieokreślonych pierwiastków. Prawda, że nowej doktrynie daleko jeszcze do

tej bystrości i ścisłości jaką cechuje każdy dojrzały i głęboki system naukowy. Ale wśród tego nieumiarkowania, które stanowi smutne zjawisko, towarzyszące stale naszej epoce gorączkowego dążenia i marzeń, przeblyskują już zwiastuny blizkiego tryumfu. I dziś można już śmiało powiedzieć, że tylko ta nowa teoria zdoła nadać socjologii charakter prawdziwej i właściwej nauki, charakter, którego nie mogła zapewnić jej ani filozoficzna ani biologiczna szkoła; a pod zbawiennym wpływem tak odrodzonej socjologii powstaną na nowe i chwały pełne życie wszystkie poszczególne umiejętności socyalne.

Bo nowa ta szkoła nie tłumi starych, które ją w szlachetnych zapasach wyprzedziły, lecz stara się przeciwnie częściowe, przez nich odkryte prawdy zebrać i uporządkować. Korzysta z badań Comte'a nad wpływem czynnika umysłowego na rozwój społeczeństwa, lecz wykazuje równocześnie w jaki sposób ten niezmiernie silny czynnik spowodowany i ograniczony zostaje decydującym wpływem czynnika ekonomicznego. Kładzie wielki nacisk na znaczenie pierwiastka biologicznego, ale równocześnie wykazuje jak stosunki ekonomiczne upraszczają go i znoszą. Daleka od chęci zniszczenia innych szkół, wciela je raczej w swe własne badania i stwarza symetrycznie ułożoną całość. To też twierdzą bez ogródek; uzbrojona w wyniki szkół starszych, wolna

od wszelkiej partyjnej jednostronności i uczciwie poparta rusztowaniem dowodów i obserwacji zdoła socyologia, oparta na podstawie ekonomicznej, może w niedalekiej już nawet przyszłości rozwiązać zagadkę społecznego życia i przygotować dla naszych zmęczonych społeczeństw jaśniejszą i promienniejszą przyszłość.

WYKŁAD SZÓSTY.

Socyologia porównawcza.

Jeśli prawdą jest, że wszystkie gałęzie wiedzy w gruncie rzeczy temi samemi posługują się w badaniu metodami (dedukcya, indukcyja, obserwacyja, experiment) to nie mniej prawdą jest, że rozmaite umiejętności wykazują przewagę jużto jednego, jużto drugiego środka badawczego stosownie do odmiennego charakteru zjawisk jakeimi się zajmują. Możliwy nawet zauważyć, że każda nauka ma w specjalnej metodzie, jaką się zawsze lub przeważnie posługuje swe własne zewnętrzne znamię, którem się od sióstr swych odróżnia, że w tej odrębności metody jaśniej niż w każdym innym objawie odzwierciedla się szczególny charakter jej przedmiotu, fizyognomia jej duchowego zakresu. I oto wystarczy najbardziej powierzchowna obserwacyja, dla wykazania, że metodą której przeważnie używa i której najważniejsze zawdzię-

cza postępy socyologia — jest metoda porównawcza; umiejętność ta przeto aczkolwiek łączy się pod względem przedmiotu z naukami etycznymi, prawniczymi i politycznymi pozostaje pod względem metody badania w najściślejszym pokrewieństwie z antropologicznymi i biologicznymi gałęziami wiedzy przyrodniczej. Ale metoda porównawcza przyjmuje w socyologii zupełnie odmienne kształty stosownie do odmian społecznego organizmu, ku któremu się zwraca; porównanie może być zatem; językoznawcze, historyczno-rozwojowe albo kolonialne.

Językoznawstwo używa nauce o społeczeństwie niespodziewanie potężnego środka pomocniczego w postaci metody, która jak wszystkie genialne odkrycia odznacza się cudowną prostotą. Istotne pokrewieństwo, jakie wykryli językoznawcy między narzeczami indo-europejskich ludów wykazuje rzeczywiście, że pochodzą one od jednego jedynego szczepu z łona, którego wywędrowały do dzisiejszych siedzib. Skoro zatem pewien przedmiot lub pewna instytucja określona jest w rozmaitych indoeuropejskich językach słowami o tym samym źródłosłowie — przeto wynika, że ów przedmiot lub owa instytucja istniały już w pierwotnym narodzie zanim jeszcze wychodźstwo się zaczęło; jeśli natomiast rozmaite indoeuropejskie języki rozmaitych używają źródłosłów na oznaczenie tych samych przedmiotów, przeto wnioskować można, że przedmiot ów nie był jeszcze

znany pierwotnemu szczepowi przed rozsypką. W ten sposób przy pomocy takiego fortelu określić można ze znacznem przybliżeniem stopień kultury na jakim znajdował się naród pierwotny przed wychodźstwem, jakie posiadał instytucje, jakie zarysy społecznego ustroju, słowem obszar naszych wiadomości, ograniczony skąpą ilością historycznych i paleontologicznych dokumentów, rozszerza się znacznie. Co do ścisłości tej metody nasuwa się bez wątpienia w pierwszej chwili wiele poważnych wątpliwości. Przedewszystkiem przyznać należy, że różnice fonetyczne źródłosłów używanych przez rozmaite ludy dla nazwania pewnego przedmiotu, same przez się nie wykazują jeszcze świeżego pochodzenia danej rzeczy. Kto rozważy bliżej ten niezachwiany dziś fakt, że kolonie w pierwotnej fazie rozwoju, stanowią zadziwiająco wierny obraz stanu ojczyzny, musi przecie uznać, iż wiele instytucji, które istniały w szczepie rodzimym przed wychodźstwem, nie mogło się w żaden sposób utrzymać w pierwszym okresie nowo stworzonych agglomeratów. To też nazwy przyjęte na oznaczenie takich urzędzeń musiały popaść w zapomnienie, a kolonia, jeśli nawet instytucję tę później przyjęła, musiała dla niej nową ukuć nazwę. Dlatego różnica wyrazów, używanych wśród różnych europejskich narodów na określenie tego samego przedmiotu nie może być rozstrzygającym i niedwuznacznym do-

wodem na to, że przedmiot ten nie był znany w szczepie pierwotnym przed rozsypką.

Następnie garstka wychodźców musiała z biedy przedzierać się przez dzikie niezagospodarowane okolice lub przebywać nawet przez dłuższy czas wśród hord, niedostępnych dla wszelkiej cywilizacji. To też naturalną zupełnie jest rzeczą że wśród takich okoliczności wiele instytucji ojczystych musiało wyjść z użycia, a z nimi ginęły też wyrazy, których używano na ich określenie. Dlatego, jeśli grupy stanowiące gałąź pierwotnego szczepu zechciały nawet potem odświeżyć użycie zapomnianego przedmiotu lub urządzenia, musiały stwarzać dla nich nowe wyrazy. Tem właśnie tłumaczą filologowie różnicę źródłosłów w wyrazach używanych przez rozmaite narody Europy na oznaczenie soli. Bo w istocie różnicy takiej uważać nie można za wynik lub oznakę faktu, że naród pierwotny nie znał i nie używał soli; źródła jej raczej szukać należy w tem, iż rozmaite plemiona oddzieliwszy się od pnia ojczystego musiały przez czas wiekowych okresów, zanim doszły do ostatecznych swych siedzib, przebywać w okolicach, w których sól nie była znana. Z drugiej strony identyczność źródłosłów nie jest bynajmniej rozstrzygającym dowodem na to, że przedmiot znany był w narodzie ojczystym przed rozsypką; łatwo bowiem możliwe, że przedmiot dany lub instytucja stworzone i po raz pierwszy wprowadzone w życie w jednym z narodów prze-

szyły potem drogą handlowych i międzynarodowych stosunków w narody inne. W ten sposób wytłumaczyć n. p. można identyczność nazwy pługa u rozmaitych ludów Europy, gdyż narzędzie to jak się zdaje nieznanem było pierwotnym aryjczykom.

Te zarzuty, (które niedawno w znakomitem swem dziele podniósł Kawalewsky) są z pewnością niezmiernie poważne. Lecz jeśli ograniczają one nawet bezwątpienia zakres językowo-porównawczej metody, jeśli nakładają na każdego, kto się nią posługiwać pragnie, przykry obowiązek ostrożności, nie zdołają jej jednak usunąć ani osłabić wartości i znaczenia, jakie ma dla socjologii. Pomaga ona bowiem do uchylenia narazie tej tajemniczej zasłony, która okrywa początek europejskich ludów; pozwala nakreślić mniej więcej kontury obrazu pierwotnego barbarzyństwa, z którego wyłoniła się nasza kultura. A portrety najdalszych naszych przodków nie są wcale tak straszne, byśmy się rumienić musieli. Psychologicznem podłożem indoeuropejskich narodów były według najnowszych i najbardziej uznanych badań charakterystyczne cechy szczepu indogermańskiego. Indogermanowie nie znali prawie zupełnie użytku naczyń i narzędzi kamiennych. Posiadali jedno tylko zwierzę domowe, konia, którego jednak używali jako pożywienia, nie znając jazdy konnej. Nie znaną im też była uprawa roli oraz z nią połączona wspólna

własność ziemi, nie mieli wina i trudnili się tylko przędzą i tkactwem. Nie widzieli nigdy morza i nie znali rybołostwa, posługiwali się zamianą a wół był miarą wartości. Używali niektórych miar długości opartych na systemie dziesiętkowym i liczyć umieli do stu. Rozróżniali farby o falach długich (czerwoną i żółtą) nie znali krótkofalowych (zielonej i niebieskiej), zjawisko stojące prawdopodobnie w związku z tem, że pierwsze nasuwają się dzikiemu człowiekowi co chwila na skórach najbardziej rozpowszechnionych zwierząt. Odróżniali zimę od lata, liczyli miesiące według obiegu księżyca nie mieli jednak pojęcia o roku. Ponieważ według księżyca układali miarę czasu liczyli na noce nie dni. Odróżniali dzień od wieczora, nie znali jednak żadnych dalszych podziałów dnia, co ze względu na pierwotne przedhistoryczne stosunki zarobkowe musiało być zresztą zupełnie zbyteczne. Mieszkali w podziemnych grotach lub chatach drewnianych. Mieli broń zaczepną, nie posiadali jednak odpornej. Jest to objaw zupełnie naturalny, ponieważ obrona następuje chronologicznie po zaczepce wobec czego broń odporna musi się zjawić po zaczepnej; fakt ten służyć może zarazem do obalenia wywodów Ammona, który twierdzi, że wykrył w człowieku instynkt obronny i ten to instynkt miał naszych pradziadów popchnąć do stworzenia społecznej gminy. W istocie jednak jest przypuszczenie to tak od prawdy dalekie, że na początku rozwoju

ludzkości nie znano nawet środków obronnych. Najstarsi indogermanowie nie znali żadnych form stałego politycznego ustroju i ograniczali się do stwarzania prowizorycznych organizacji politycznych w razie niebezpieczeństwa. Pierwotny lud był religijny; lecz religia jego polegała tylko na ubóstwianiu sił przyrody, którym przypisywano demoniczną potęgę, nie było jednak żadnych norm moralnych, żadnego wpływu jakiejś nauki na tryb życia ludzkiego. Myśli o życiu przyszłym brakło im również a bogom oddawali cześć nie w murach świątyni, lecz pod drzewami dziewiczych lasów, świętych i czczonych przez pobożny lud.

Oto w zarysie ustrój społeczny i życie naszych przedhistorycznych pradziadów o ile zdołało je odbić zwierciadło najnowszych językowo-porównawczych badań; oto tajemnicza Atlantyda, którą pochłonął ocean stuleci, a której nowa nauka mocą najsilniejszego i czarodziejskiego narzędzia wyłonić się kazała z otchłani fal. Oto nowy horyzont, który językoznawstwo odkryło nauce o rzeczach; nowy świat otwiera swe wrota przed socjologią, która musi śmiało wejść, by trwałe i szlachetne pozbierać owoce. Dzięki tej wyżej poznanej metodzie można wreszcie przedstawić zupełny szereg form ludzkiego społeczeństwa ułożonych w porządku według następujących po sobie stopni kultury. Szereg poczyna się od ludu pierwotnego, którego najogólniejsze cechy nakreśla językoznawstwo w powyżej przytoczony sposób,

posuwa się do ludów o coraz wyższym stopniu kultury i kończy na tych, którzy stanowią wierzchołek dzisiejszej cywilizacji. Porównując sklasyfikowane w ten sposób ludy zdobywamy sobie cenne narzędzie do zbadania instytucji społecznych, ich powstania oraz najwybitniejszych cech. Ale podczas gdy porównanie form językowych szuka głównie analogii i na nich przedewszystkiem się opiera, to porównanie form społecznych musi przeciwnie zbadać różnice. Można bowiem łatwo porównać analogiczne objawy pewnego społecznego fenomenu u rozmaitych na świecie narodów, ale porównanie to nie wiele się przyda i nie upoważnia nas do ważniejszych wniosków. A jeśli nawet znajdziemy, że pewien fenomen lub pewna instytucja objawia się w tych samych absolutnie formach u dwóch odmiennych narodów, to z faktu tego żadnego zgoła nie możemy wyciągnąć wniosku co do pokrewieństwa rasowego, czy też wspólnego pochodzenia obu ludów. Ogólnie bowiem wiadomo, że wszystkie narody na ziemi, choćby się jak najbardziej od siebie różniły w pewnym stadium rozwoju posiadają zupełnie jednakie lub przynajmniej bardzo podobne urządzenia. Zysk natomiast jaki ciągnąć możemy z porównania społecznych różnic jest naprawdę godny uwagi. Wiemy już, że studjum mniej cywilizowanych narodów pozwala nam poznać i zrozumieć wiele zjawisk i urządzeń, które zanikły zupełnie w narodach cywilizowanych i przechowały się tylko lub

zostawiły wyraźne ślady na wyższych stopniach kultury. Podobnie i studyum szczątkowych zjawisk społecznych t. j. resztek dawniejszego społecznego ustroju pomaga niezmiernie wiele do rekonstrukcyi zasadniczych rysów danej rozwojowej fazy. Do zupełnie zaś innych i o wiele wyższych celów służy porównanie rozmaitych a zwłaszcza jak najskrajniejszych form społecznych, albo narodów stojących jak najdalej od siebie na drabinie rozwoju.

Skoro mianowicie porównywać będziemy narody stojące na najniższym szczeblu rozwoju z coraz to wyżej cywilizowanymi, spostrzeżemy, że wiele dziś panujących urzędzeń nie istniało w pierwszych grupach społecznych; możemy zatem powstanie tych instytucyi i kolejne przemiany jakie przechodziły, zanim uzyskały dzisiejszą postać jak najdokładniej wyśledzić. I okaże się wtedy, że najważniejsze urządzenia społeczne to nie dar nieśmiertelnej Opatrzności, lecz rezultat przypadkowych i przemijających przyczyn; utracą wtedy związki społeczne ową aureolę nieśmiertelności, jaką ozdobiła je nauka czy nieuctwo poprzednich stuleci i staną skromnie w szeregu przemijających tworów pod władzą wiecznego procesu γένεσις καὶ φθορά. A udowodniwszy już raz historyczną genezę społecznych związków opuścimy koryto abstrakcyjnej spekulacyi i będziemy mieli drogę otwartą do krytyki, którą *a priori* rzekoma niezmienność organicznego ich stanu wyłączała.

Takie powiedzmy historyczno rozwojowe porównanie stwierdza bez wątpienia historyczny charakter instytucyi społecznych, nie może jednak ze względu na swą formę i granice wytłumaczyć przyczyn badanych zjawisk. Porównując bowiem narody różniące się od siebie o całe niebo zarówno pod względem czynników psychologicznych i ludzkich (kultura, mowa, inteligencya, rozwój techniczny, moralność, prawo etc.) jakoteż zewnętrznych naturalnych (klimat, warunki okkupacyi, wydatność ziemi i roli i t. d.) nie można nigdy stwierdzić, czy różnica, jaką dostrzegamy w społecznym ich ustroju wywodzi się od wszystkich, czy też od kilku z tych czynników; stąd wynika, że nie możemy powiedzieć czy organizm społeczny jest produktem czynników psychologicznych, czy zewnętrznych t. z. problem przyczynowości społecznej pozostaje nierozwiązany. Chcąc dojść do ściślejszego rozwiązania tego problemu, należałoby porównać kraje, w których różnice nie obejmują wszystkich czynników społecznych, lecz ograniczają się tylko do kilku. Byłoby zatem np. pożyteczne zebrać po jednej stronie wszystkie psychologiczne, po drugiej wszystkie zewnętrzne pierwiastki wywierające jakikolwiek wpływ na życie społeczne i badać następnie kraje, których różnice tkwią jużto w jednej, jużto w drugiej tylko kategorii pierwiastków. Gdybyśmy zatem porównując dwa narody, różniące się n. p. tylko pod względem czynników teryto-

ryalnych dostrzegli zasadniczo odmienny ustrój społeczny, moglibyśmy z tego bezpośrednio wnioskować, że warunki okkupacyi i produktywności gleby są bardzo ważnym czynnikiem społecznego ustroju. Nie upoważniałoby to nas jeszcze do twierdzenia jakoby inne, psychologiczne lub czysto ludzkie pierwiastki nie miały znaczenia w budowie społecznej; to też wnioski nasze zostawałyby daleko jeszcze przed progiem tej ogólności i ścisłości jakiej sobie życzymy. Chcąc w tym razie uzyskać odpowiedź zupełną, musielibyśmy porównać kraje, które różnią się tylko w zakresie psychologicznych czynników. Jeśli się okaże, że kraje te mają zupełnie identyczny ustrój społeczny, będziemy zmuszeni wywnioskować, że tylko warunki apropiacyi i produktywności ziemi kształtują formę społeczeństwa a wszelkie inne, wewnętrzne warunki człowieka odgrywają w krwawym dramacie historii rolę niemych tylko statystów. Do wprost przeciwnego wniosku doszlibyśmy wtedy, gdyby się okazało, że pewne narody o odmiennych psychologicznych tylko warunkach mają też odmienny ustrój społeczny, a takie natomiast których różnice tkwią w warunkach terytorjalnych wykazują zupełnie identyczną budowę społeczną. W sposób najskuteczniejszy i najpiękniejszy można porównanie takie przeprowadzić dzięki istnieniu kolonii. Jeśli bowiem porównamy obraz kolonii w pewnej epoce, z obrazem kraju macierzystego z tej samej epoki, spełnimy wszystkie

żądane warunki; oba kraje posiadają zupełnie identyczną rasę, kulturę, religię, inteligencję, siłę muskularną, słowem wszystko co stanowi pierwiastek psychologiczny lub mówiąc ogólniej ludzki; oba wykazują natomiast różnicę, lub stanowią nawet kategorię antytezę pod względem warunków produktywności i okupacji ziemi. W kraju bowiem macierzystym cały obszar ziemi jest zajęty i w znacznej części uprawiany, podczas gdy w kolonii wielkie przestrzenie najżyźniejszego ładu leżą odłogiem nie zamienione w glebę. Jeżeli zatem w danej chwili istnieją zasadnicze różnice między ustrojem społecznym kolonii a macierzy, to nie możemy przypisywać ich czynnikom psychologicznym, w obu krajach jednakim, lecz musimy je uznać za wytwór różnic w warunkach produktywności i appropriacji ładu; dlatego mamy w takim razie prawo twierdzić, że terytorjalne warunki są koniecznym czynnikiem społecznego ustroju. Nie usuwa to jednak naturalnie możliwości, że pierwiastki ludzkie lub psychologiczne są również czynne przy budowie gmachu społecznego. Ale porównajmy teraz kolonię w pewnym okresie jej istnienia z krajem macierzystym w starożytnej epoce, kiedy gęstość zaludnienia a zatem i warunki appropriacji ziemi i produktywności gleby były identyczne z tymi, jakie obecnie panują w kolonii. Teraz obejmuje porównanie, jak widzimy dwa kraje, które różnią się tylko i jedynie pod względem ludzkich

i psychologicznych pierwiastków. Pierwiastek terytoryalny bowiem czyli warunki okkupacyi i produktywności gleby są w obu narodach analogiczne, tylko w kolonii kwitnie wysubtelniona cywilizacya, podczas gdy kraj macierzysty z okresu starożytnego pogrążony jest w najsurowszem barbarzyństwie; rasa, religia, nauka, rozwój techniczny, moralność są w obu narodach zgoła odmienne; słowem pierwiastek ludzki jest w obu krajach więcej nawet niż różny, bo wręcz przeciwny. Jeśli więc napotkamy mimo to zupełną identyczność społecznych instytucyi, będziemy zmuszeni do wniosku, że pierwiastek ludzki żadnego zgoła na organizację społeczeństwa nie wywiera wpływu, że nie jest żadnym socyologicznym czynnikiem, a tylko stopień okkupacyi i appropriacyi kraju jest wyłącznym twórcą ekonomicznego i sosalnego ustroju.

Taka porównawcza analiza kolonii amerykańskich i Europy wykazuje, że w nowych społeczeństwach rodzą się stosunki ekonomiczne, polityczne, prawne i t. p. zasadniczo odmienne od stosunków panujących równocześnie w kraju macierzystym, a identyczne z tymi, jakie w nich panowały w fazie ubiegłej, gdy warunki terytoryalne były podobne jak w koloniach. Panuje tam więc zrazu niepewna własność prywatna, która ustępuje potem kolektywizmowi i od tej chwili powtarzają się już dalej bez znacznie-szych odmian pierwotne fazy społeczeństw euro-

pejskich. A zatem kolonie wprowadzają wkrótce niewolę, która przybiera w nich postać taką, jaką posiadała w starożytnej Europie; wskutek niewoli odradzają się na nowym gruncie z zadziwiającą zgodnością pojęcia prawne, poglądy moralne i urządzenia polityczne starożytnego greckolacińskiego świata. Potem przychodzi kolej na instytucje takie, jak przywiązanie do gleby, cechy, słowem cały feudalny średniowieczny ustrój, który panował przez długi czas w Europie; nareszcie w ostatniej fazie tego rozwoju, skoro cały już ląd jest zaludniony tak, jak w Europie nastaje system pracy zarobkowej wraz z całym z nią związanym, skomplikowanym aparatem społecznych stosunków. Jak człowiek w łonie matki przebiega wszystkie fazy rozwoju organicznego, tak samo przebiega ludzkość w życiu kolonii wszystkie okresy super-organicznego rozwoju.

Rezultat powyższych porównawczych badań kolonii jest niezmiernie ważny dlatego, że burzy raz na zawsze systemy, które szukają i niby znajdują w inteligencji lub różnych jej przejawach przyczynę społecznego rozwoju. Bo jakżeż można w istocie godzić się na teorię Comt'a i Buckla, że zjawiska społeczne są produktem intelektualnego rozwoju, albo na myśl Hegla, że historia jest ewolucyjnym rozkwitem idei, albo wreszcie na aforyzmy Lasall'a, że duch ludzki jest powstawaniem (*ein Werden*) w historii, jakżeż można twierdzić za Marksem, że rozwój mate-

ryalnych sił produktywnych, sam przez się wytwarza postępowy ciąg społecznych form, albo powtarzać za Kiddem, że rozwój idei religijnych jest dźwignią postępu, skoro udowodnione jest, że nowe społeczeństwo wyposażone w wiekowe, intelektualne, techniczne i religijne dziedzictwo dawnych pokoleń musi przyjąć pierwotne formy ekonomiczne i społeczne, z tego jedynie powodu, że osiedliło się w wolnym kraju, podobnie jak ludzkość pierwotna.

Cywilizacya kolonii, która opiera się tylko na warunkach natury fizycznej, niezależnie od czynników psychologicznych, jest kategorycznym zaprzeczeniem rzekomej zależności kultury od intelektualnego i moralnego rozwoju społeczeństwa a zarazem podporą przekonania o ścisłej łączności historii z naturą, o wspaniałej mechanicznej syntezie człowieka ze światem zewnętrznym.

Pod tym względem dochodzi porównawcze badanie kolonii do rozwiązania problemu pierwszej przyczyny zjawisk socjalnych, problemu, którego nie rozwiązały żadne poprzednie dociekania socjologiczne. Szkoła materyalistycznego poglądu na historję, sprowadzając wszystkie społeczne zjawiska do warunków ekonomicznych, nie tłumaczy jeszcze co jest powodem tego ekonomicznego stanu, który sam z siebie kształtuje i tworzy cały byt społeczeństwa. Ale porównawcze badania historii może te braki usunąć wykazując, że sto-

sunki ekonomiczne są koniecznym wytworem stopnia okkupacji i produktywności ziemi — może zatem znaczną ilość społecznych zjawisk sprowadzić w ten sposób do jednej jedynej najprostrzej przyczyny.

Oto najważniejsze zastosowanie i zasadnicze formy porównawczej metody w socjologii. Rozumie się jednak, że są to tylko początki badawczego procesu, któremu przeznaczono dalej idące znaleźć zastosowanie i znacznie ważniejsze przynieść owoce. W każdym razie z uzyskanych wyników przewidzieć już można te, jakie jeszcze osiągnie i nie będzie zbyt śmiałym twierdzenie, że metoda ta usuwając zwycięzko panującą po dziś dzień metodę syllogistyczną rzuci snop ożywczego światła w przepastne głębie społeczeństwa ludzkiego.

Znam wprawdzie owo przysłowie francuzkie, które jest prawdopodobnie popularną destylacją metafizycznego wychowania ubiegłych wieków, wiem, że głosi z powagą: »*Comparaison n'est pas raison*«, ale i przysłowia dzielą przemijający los wszystkich ludzkich urzędów i tworców a zastosowania metody porównawczej mogą na przekór wszelkim przysłowiom udowodnić, że tajemna przyczyna rzeczy. wylania się prędzej z zestawienia faktów, aniżeli z samotniczych logicznych rozmyślań. Do nowożytniej nauki zastosować można świetnie staroindyjską legendę, która opowiada,

że kiedy gorące modły kapłanów Agni, boga światła nie zdołały wydrzeć mu ani jednej isierki — ożywczy płomień błysnął niby błyskawica z dwóch podczas ceremonii ocieranych o siebie dREWIEŃ a lud powitał go radosnem hosanna.

WYKŁAD SIÓDMY.

Socyologiczne badanie rodziny.

Miarą wartości pewnej nauki jest nie tyle znaczenie jej ogólnych i systematycznych teorii, ile raczej zdolność rozwiązania pewnego problemu lub zanalizowania poszczególnych zjawisk, stanowiących przedmiot badania. Najlepszą zatem drogą do zrozumienia skuteczności i płodności socjologii, będzie zbadać, jak rozwiązała swe najważniejsze zagadnienia. Otóż istnieje między temi zagadnieniami jedno, na rozwiązaniu którego silniej niż na każdym innym opiera się teoria nowożytnej socjologii, czyli ekonomiczna przyczynowość zjawisk społecznych, oraz panujący w niej a w metodzie porównawczej zamknięty proces logiczny. Jest to problem powstania, kolejno po sobie następujących metamorfoz i prawdopodobnych przyszłych losów — rodziny. Dlatego powinniśmy w tej chwili zwrócić baczną uwagę na to zajmujące pytanie.

Najprostsze i najjaśniejsze sądy o tej niezmiernie subtelnej kwestyi istniały w połowie XIX stulecia. Do tego czasu było ogólnie uznanym dogmatem, że we wszystkich epokach rozwoju ludzkości panowała ta sama nowożytna forma rodziny. Myślano powszechnie, że zawsze od najdawniejszych czasów istniała monogamia i patryarchalne stosunki t. z. że ojciec był w rodzinie środowiskiem, najwyższym sędzią, narzucającym swą wolę żonie i dzieciom, że pokrewieństwo a co za tem idzie i dziedzictwo przechodziło linią po mieczu tj. że majątek przechodził z ojca na syna a jeśli ten poprzednio umarł na bratanka. Przypuszczano dalej, że w okresie najdawniejszym, w czasach tej dzikości, którą tak ciemnymi barwy wymalował Vico, panowało pod względem płciowym brutalne zamieszanie; ale zaledwie stłumił w sobie człowiek dzikiego zwierza, powstała odrazu ta patryarchalna monogamiczna rodzina i trwała bez zmiany przez wieki, aby, mówiąc słowami Graunta, myśl boską wcielić w domowym i płciowym życiu.

Ale metoda porównawcza, ta chluba dzisiejszej socyologii zdarła nagle z oczu uczonych różową zasłonę iluzji, budząc ostateczną rewolucję na rozmaitych polach badania. Już ekonomia polityczna zapuściwszy sondę badawczą w przeszłość aż do chwili, gdy błysła pierwsza zorza historii rozwiała mrzonki o naturalnym i wieczystym charakterze prywatnej własności, odkryciem kilku-

wiekowej epoki, w której ludzkość stała pod sztandarem wspólnej własności. Okazało się nawet, że ten nowo odkryty, prastary świat nie był wcale tak barbarzyński i brutalny, jak sądzą chętnie ci, dla których własność prywatna jest głównym warunkiem kultury. Bynajmniej; ludzie pierwotni, ci którzy wprowadzili w życie zasadę wspólnej własności przewyższali pod wielu względami grzeczności i subtelności moralnej nasze t. z. cywilizowane społeczeństwo. Był to więc jak widzimy poważny i głęboko w istniejące przekonania o rzeczach i instytucjach ludzkich sięgający przewrót. Ale historia, ta straszna rozsądnicza siła myśli, musiała burzyć wiele jeszcze skał przesądu i zabobonu, zanim zdołała zbudować na gruzach promienną świątynię prawdy. Zrywając szranki, które u progu historii zatrzymały metodę porównawczą zdobyła sobie socyologia mityczne obszary przedhistorycznej epoki i zdołała podminować obronne wały legendy o wiecznym istnieniu monogamiicznej patryarchalnej rodziny. Bo oto ukazał się oczom zdumionego widza prastary świata porządek, w którym rodzina nie na ojcu lecz na matce się opiera; a stary świat ten nie miał wcale cech niższej kultury i nieszczęsnego barbarzyństwa, lecz był raczej jasnym obrazem szczęścia i pokoju.

Było to w roku 1861, kiedy Bachofen urzęczywistniając intuicyę Hobbesa wykrył pod osłoną greckiego i łacińskiego mitu kontury niezmier-

nie dalekiej epoki, w której głową rodziny nie był ojciec lecz matka.

Literatura i legendy grecko-katolickiego świata zawierają mnóstwo wspomnień dotyczących się tego przedhistorycznego porządku. Ślady takiego urzędzenia spotykamy u Lykiów, Etrusków, Libijczyków i Iberyjczyków; znane ono było prawdopodobnie i w szczepach semickich, dokąd przeszło od Arabów; nawet w Brytanii miała zdaniem Cezara panować władza matek. Tacyt odnalazł u Germanów prawo, według którego wuj uważany był za najbliższego krewnego a prawo takie jest najwidoczniej zjawiskiem szczątkowem całego systemu pokrewieństwa po kądzieli. Przy zawieraniu małżeństw w narodach północnych przebija też wyraźnie większe znaczenie pokrewieństwa ze strony matki. A nawet pierwsze prawa spadkowe noszą wybitne ślady ustroju rodziny matryarchalchalnej. U Nubijczyków n. p. przechodzi spadek na dzieci siostry lub córki zmarłego a nigdy na jego własne potomstwo. Wreszcie i w mitologii pierwotnych ludów przechowały się wcale nie dwuznaczne ślady przewagi kobiet w najdawniejszych czasach. Tak więc Germanowie czczą Normy, boginie losu, wyżej, niż Odyna a w matkach widzą przyczyny wszechrzeczy; Egipcjanie oddają najwyższą cześć bogini Isis; w tych samych przedhistorycznych formach, o których wspomina Byron w Kainie występuje tajemnicze bóstwo kobiece prastarej przeszłości. Wyraźniejsze jeszcze

znacznie ślady władzy matki w rodzinie przechowały się w greckich legendach i pomnikach.

Tak więc w Eumenidach Eischylosa, Orestes, który zabił matkę by pomścić zgładzonego przez nią ojca Agamemnona, daremnie stara się ułagodzić furię przypomnieniem jej zbrodni dokonanej na mężu. Syn — mówią nieubłagane Erynnie jest płodem swej matki i żaden bliższy związek ni wyższe uczucie dlań nie istnieje. W języku Latynów słowo »matrymonium«. wykazuje też ślad matryarchalnego ustroju pierwotnej rodziny, gdyż w razie przewagi ojca nazwanoby małżeństwo »patrimonium«. A niektóre nawet dokumenty zdają się świadczyć za tem, że w rodzinach plebejskich w Rzymie oznaczono pokrewieństwo wyłącznie w linii matki.

Relikwie matryarchalnej rodziny nie giną wraz z klasyczną starożytnością. Zachowały się w wiekach średnich, wprawdzie nie w klasach arystokratycznych i mieszczańskich, ale w wydziedziczonych i praw pozbawionych warstwach społecznych, w których atawistycznie odbijają się zarysy pierwotnej ludzkości. Tak n. p. znany jest fakt, że w średniowiecznych Niemczech synowie poddanych należeli do stanu, z którego pochodziła matka. Najcharakterystyczniejszy jednak jest objaw ten, że wszystkie legendy i baśnie o czarownicach zawierają ślady matryarchalnej rodziny, że podczas zlotu czarownic oddawano szczególną cześć

czarownicy — matce, a we wszystkich zaklęciach ujawniają się zarysy matryarchalnych stosunków.

Te zjawiska szczątkowe nabierają szczególnie ważnego znaczenia dzięki najnowszym odkryciom z dziedziny ustroju rodzinnego w dzikich dziś jeszcze żyjących szczepach. Są to przede wszystkim odkrycia Morgana; znalazł on u amerykańskich Irokezów pokrewieństwo wyłącznie w linii matki i odkryciem tym zdobył socjologii ostatecznie podstawy do syntetycznych i pozytywnych wniosków o pierwotnej postaci ludzkiej rodziny.

Jednolity i typowy charakter tej pierwotnej formy jest następujący: środowiskiem rodziny jest matka i od niej wywodzą się wszelkie pokrewieństwa i stosunki spadkowe. Mąż mieszka w domu żony i podlega jej władzy. Synowie obejmują spadek po matce nie po ojcu. Mienie zmarłego nie przechodzi na jego dzieci lecz na braci lub siostry lub wreszcie na dzieci tych ostatnich. Widzimy zatem, że jest to ustrój rodziny wręcz u nas panującym stosunkom przeciwny. Ale i ta organizacya domowego życia nie jest ciągle stała, lecz wykazuje kilka po sobie następujących i z różniczkowanych w rozwoju form. Najstarszą i najsurowszą formą jest małżeństwo zbiorowe, polegające na tem, że w pewnej grupie wszyscy mężczyźni pożenieni są ze wszystkimi kobietami. Ten wolny konkubinacjizm ograniczony zostaje potem przez wyłączenie małżeństw między rodzicami i dziećmi, następnie jeszcze między rodzeństwem

tak, że pozostaje znaczna ilość osobników, mężczyzn i kobiet, niepołączonych związkami bezpośredniego spokrewnienia jako t. z. towarzysze w małżeństwie.

W języku Irokesów zwie się to »Püalua«; stąd nazwa tej formy rodzinnego życia »małżeństwo Püalua« (*Püaluaehe*).

Z tego stadyum krok już tylko do znanej instytucji exogamii t. j. zakazu zawierania związków małżeńskich przez osobniki należące do tej samej »gens« czyli przez potomków tego samego niewieściego szczepu. A jeśli zwrócimy uwagę na to, że szczepy po części zamieszkują oddzielne terytoria i należą do różnych grup, to ujrzymy instytucję wprost przeciwną naszemu sposobowi myślenia, który wyraża się dobitnie w znanym przysłowiu: »kobiety i bydło z kraju!«. Ostatni wreszcie krok, zakaz zawierania związków małżeńskich przez osobniki zamężne (żonate) wiedzie bezpośrednio do monogamii. Ale jeszcze i w tej monogamicznej rodzinie zachowują się normy pokrewieństwa oparte na matryarchalnym ustroju. Szczególne znaczenie kobiety w tak zorganizowanej rodzinie pociąga za sobą przewagę płci żeńskiej w domu i społeczeństwie i wytwarza zupełną antytezę stanu, jaki spotykamy u ludów cywilizowanych. Tu bowiem jest mężczyzna panem i obrońcą rodziny i społeczeństwa, tam najwyższym autorytetem jest kobieta, która rządzi domem, spełnia funkcje religijne, sięga swą władzą poza domową

zagrodę aż do rady gminnej. Jeszcze w roku 1873 pisał Wright, misjonarz w pewnym szczepie Irokezów z Seneki. »Tu rządzi domem kobieta. Zapasy żywności są wspólną własnością lecz biada mężowi lub kochankowi, któryby się odważył wziąć sobie z nich choć odrobinę samowolnie. Niechby miał cały legion dzieci i nie wiedzieć jaki majątek — w każdej chwili mógłby dostać rozkaz: »pakuj manatki i ruszaj precz ; a nieposłuszeństwo nie wyszłoby mu na zdrowie. Jeśli się za nim nie wstawi żadna babka, matka lub ciotka, musi przenosić się do innego klanu i szukać innej żony. Żony mają najwyższą władzę w klanie. One wybierają naczelnika szczepu, a jeśli okoliczności tego wymagają nie boją się wcale zerwać mu z głowy rogów (oznakę władzy) i zepchnąć znów w szeregi zwykłych wojowników. Są to więc rządy kobiece, do góry nogami przewrócony porządek świata, ustrój, który my przy pomocy naszych, nie daleko sięgających i jednostronnych wyobrażeń, czerpanych z historii cywilizowanego świata z trudnością tylko pojąć możemy. Chcąc choćby w części wyobrazić sobie ten prymitywny matryarchalny ustrój musimy spojrzeć na społeczeństwo pszczół; w niem bowiem rządzi też jedna królowa, matka całego roju a wokół niej stoją trutnie, które mają jedynie zapładniać pszczoły, poczem zostają wypędzone z ula. Jeśli wreszcie pragniemy koniecznie doszukać się w życiu współczesnem trwałego obrazu pierwotnej formy spo-

łecznego życia, przypatrzmyż się zjawisku, które za naszych czasów zdarzyło się w jednym mieście ze stanu Michigan w Stanach Zjednoczonych; otóż kobiety, które stanowiły tam znaczną większość rady gminnej wzięły sobie w monopol wszystkie urzędy publiczne, zostawiając wspaniałomyślnie silniejszej połowie rodu ludzkiego jeden jedyny urząd — publicznego zamiatacza ulic.

Mimo całą wyjątkowość i niezwykłość tego matryarchalnego ustroju jest przecie fakt oddania władzy domowej i społecznej w ręce najwznioślejszej i najprzedniejszej w świecie istoty, która jest ucieleśnieniem bezinteresownej i czystej ofiary, zawsze godny sympatycznego podziwu; skoro jednak socyolog przejdzie z bezwarunkowego zachwyty do obiektywnego badania pierwotnych form domowego życia, dostrzeże wkrótce, jakiego najprostsze i najprozaiczniejsze czynniki materialnego życia wpłynęły na stworzenie tak podniosłej organizacyi. Zdaniem jednych jest rodzina matryarchalna prostem tylko następstwem pierwotnego zamętu w stosunkach płciowych lub polyandrii, która uniemożliwiła znalezienie ojca. Tłómaczenie to jednak nie wystarcza, ponieważ matryarchat przetrwał wygaśnięcie zamętu płciowego i skojarzył się z rodziną monogamiczną. Prawdziwą przyczyną matryarchatu wysledzić zdoła ten, kto zwrócił uwagę na budowę organiczną, pierwotnej struktury ekonomicznych stosunków. Otóż w pierwszych początkach życia gospodar-

czego spoczywała produkcya, ograniczona wtedy zresztą tylko do uprawy roli, wyłącznie w ręku kobiety, ponieważ mężczyźni zajęci byli wojną lub innymi nieproduktywnymi funkcjami. Skoro zaś kobiety rzuciły pierwsze nasienie produkcji, musiały także skupić w swych rękach władzę zorganizowania i uporządkowania sił wszystkich, rodzinę stanowiących jednostek. Punktem bowiem środkowym, koło którego skupiali się członkowie pierwotnej rodziny mogła być teraz tylko matka a więc według niej też musiały się układać wszelkie stosunki pokrewieństwa. W ten sposób, jak widzimy, opiera się matryarchalna organizacja pierwotnej rodziny na ekonomicznej wyłącznie podstawie. A na tej samej podstawie opiera się odpowiadająca matryarchatowi instytucja exogamii. Wielu socyologów biedziło się nad wyjaśnieniem przyczyn tego zjawiska i wymyślało niezmierną ilość najrozmaitszych interpretacji. Tak n. p. Mac Lennan przypuszcza, że exogamia jest wytworem systematycznie w pierwotnych szczepach zachowywanego zwyczaju zabijania nowonarodzonych dziewcząt, skutkiem czego zmuszeni byli mężczyźni do szukania żon w obcych szczepach. Wyjaśnienie to nie wytrzymuje jednak krytyki. Gdyby bowiem naprawdę zabijanie nowonarodzonych dziewcząt było w dawnych czasach zwyczajem powszechnym to istnieć on by też musiał i u obcych szczepów, wobec czego ten kto by szukał żony na tesame wszędzie napoty-

kałby trudności. Jeśli wreszcie skutkiem tępienia noworodków żeńskich zmniejszała się rzeczywiście ilość kobiet, to przecie wojna przerzedzała tymczasem szeregi mężczyzn i w ten sposób braki obustronnie się wyrównywały. Zdaniem Lubbocka miała być exogamia jedynym dla przedhistorycznego człowieka sposobem uzyskania kobiety, któraby wyłącznie doń należała; według prawa bowiem stawały się wszystkie kobiety, w pewnym szczepie zrodzone, żonami wszystkich mężczyzn, z których się szczep składał. Ale i na to tłumaczenie zgodzić się trudno, gdyż w niektórych szczepach jak n. p. u mieszkańców wyspy Palos służy rabunek obcych żon właśnie za środek do utworzenia zbiorowych małżeństw. Morgan znowu zapewnia, że exogamię wywodzić należy z doświadczenia szkodliwych następstw, jakie pociąga za sobą małżeństwo spokrewnionych osobników. Ale wyjaśnienie takie przypisuje z góry dzikim znajomość praw medycznych i biologicznych, o którą ich naturalnie posądzić nie można. Z drugiej strony nie jest prawdą, jakoby exogamia uniemożliwiała związki małżeńskie między krewnymi; nie zakazuje ona wcale żenić się osobnikom pochodzącym z jednego ojca a innych matek. Starcke sądzi, że źródło exogamii tkwi w tem, iż w czasach pierwotnych, gdy żona była własnością męża, uważano za niestosowne, by matka wychodziła za własnego syna i w ten sposób stawała się jego własnością. Lecz jeśli pominiemy już fakt, że w czasach pier-

wotnych żona nie była wcale własnością męża lecz przeciwnie panowała nad nim, to i tak tłumaczenie Starckiego może tylko wskazać powód zakazu małżeństwa między matką a synem, nie tłumaczy jednak genezy exogamii w ogóle. Spencer wreszcie tłumaczy sobie exogamię jako skutek szczególnego szacunku, jakim otaczano mężczyznę, który porwał kobietę z innego szczepu oraz wyszczególnienia i nadzwyczajnej czci, jakiej zażywały powstałe stąd związki małżeńskie. Ale w tłumaczeniu tem zapomina Spencer, że małżeństwa z porwanymi kobietami nastąpiły kilka wieków później, niż matryarchalna rodzina a więc i pierwszy przejaw exogamii, że zatem nie można uważać ich za źródło lub powód powstania tej instytucji.

Genezę exogamii pojmie natychmiast jasno każdy, kto zwróci uwagę na konieczne wymogi produkcyi w czasach pierwotnych. Przekona się bowiem, że exogamia służy najlepiej do oddzielenia pierwszych grup rodzinnych, zabraniając bowiem ich członkom żenić się między sobą, odłącza ich zupełnie a co zatem idzie ułatwia podział i organizację pracy w łonie poszczególnych grup. Ale exogamia może się jeszcze przyczyniać do rozszerzenia w ten sposób utworzonych grup rodzinnych. Jeśli bowiem mężczyźni przenoszą się do innego szczepu, by w nim zamieszkać z kobietą, przeto skutkiem tego małżeństwa jest co najmniej liczebny wzrost rodzinnej grupy do któ-

rej należy kobieta; a przyrost ten o tyle jest pożyteczny, że umożliwia podział wspólnej pracy na większą skalę i pomnaża w ten sposób plony produkcji. Oto prawdziwe źródło exogamii; jest ona tylko stosownym środkiem pomocniczym do ścisłego ograniczenia i liczebnego pomnożenia grupy rodzinnej, a co zatem idzie i siły produkcyjnej.

Zależność matryarchalnego ustroju rodziny od ekonomicznych wyłącznie czynników wystąpi w jaśniejszem jeszcze świetle, skoro śledzić będziemy proces jego zaniku i przeobrażenie w instytucję patryarchatu, który jest również skutkiem ekonomicznych przyczyn a w pierwszym rzędzie skutkiem nastania prywatnej własności. Nagromadzenie znaczniejszych majątków wzbudza w mężczyznach naturalne pragnienie, by plony ich pracy przeszły w spadku na dzieci; a ponieważ podług systemu matryarchalnego spadek przechodził na siostry albo ich potomstwo, więc rozumie się, że mężczyźni z nienawiścią spoglądają na istniejący porządek i usiłują go obalić, przy pomocy tego samego majątku, który pozwala im teraz po raz pierwszy zdobywać lub kupować żony. I od pierwszej też chwili używają mężczyźni nagromadzonego mienia na organizowanie napadów na inne szczepy i porywanie ich kobiet; klasycznym tego przykładem jest w historii porwanie Sabineek. I od tego to pierwotnego zwyczaju, który wywołać musiał nieustanną nienawiść i kłótnię mię-

dzy mężem a rodzicami żony, pochodzi prawdopodobnie cicha niechęć zięcia do teściów, istniejąca aż po dziś dzień nie tylko w francuzkich romansach, lecz także niestety i w życiu. Reminiscencją tego porywania żony był też prawdopodobnie istniejący do niedawna w niektórych okolicach południowej Francyi obyczaj, że małżonka z westchnieniem i okrzykiem przekraczała progi mężowskiego domu, a rozliczne i dziwne ceremonie weselne w narodach łacińskich i germańskich zachowały też podobne, wcale nie dwuznaczne, ślady. Czasem zdarzyło się rzeczywiście, że w rodzinie porwanej zaprzysiężono zemstę i zabito zięcia; wtedy małżeństwo kończyło się nie pomnożeniem lecz raczej pomniejszeniem ludności. Dlatego doprowadziły organiczne potrzeby rozwoju, żądające zawsze i stanowczo stopniowego wzrostu ludności, do zaniku tej formy małżeństwa, która ludność przersedzała i zastąpienia jej małżeństwem opartem na układzie. Zrazu zatem łagodził mąż porwanej gniew teściów podarkami lub pieniędzmi, a następnie kupował żonę, płacąc za nią rodzicom pewną w ugodzie oznaczoną kwotę.

Zadziwiający jest proces powolnego utrwalania się tej nowej formy rodzinnego życia; dzieje się to w mniej lub więcej stanowczy sposób stosownie do wielkości majątku męża. Jeżeli mąż ma majątek bardzo szczupły, mieszka w domu żony i rodzina zachowuje wyraźnie matryarchalny

charakter. Jeśli zaś nawet młodzi małżonkowie osiedlą się osobno, to i tak rodzina żony miesza się despotycznie w ich życie i przepisuje prawa. Jeżeli mężczyzna nie ma dostatecznych na opłacenie żony funduszków, wtedy kojarzy się z kilkoma innymi i ci kupują ją razem, w ten sposób powstaje polygamia, jako konieczny skutek braku dostatecznego mienia po stronie mężczyzn. Często zdarza się też, że mężczyzna, któremu brakło funduszków na opłacenie całej za żonę żądanej kwoty, ma tylko prawo do ograniczonej, stosownie do zapłaty wierności małżeńskiej; tak n. p. u Arabów nad białym Nilem spotkać można męża, który ma prawo żądać od swojej żony wierności małżeńskiej w pewnych tylko dniach w tygodniu, zależnie od kwoty, którą za nią rodzicom zapłacił. Dopiero kiedy mężczyzna taki posiada majątek, że może wypłacić całą żadaną kwotę, wtedy powstaje najświetniejsza forma patryarchalnej rodziny; mąż jest już właścicielem kupionej żony i wszystkich z niej zrodzonych dzieci, ma nad nią prawo życia i śmierci a nad dziećmi nieograniczoną władzę ojcowską. Zgodnie ze zmianą ustroju rodziny zmienia się też gruntownie cały system spadkowy, który przenosi teraz mienie linią po mieczu a nie jak wprzód po kądzieli. Dalej: rozliczne i zawiłe stosunki pokrewieństwa złączone z matryarchalną rodziną, która do objęcia spadku powoływała niekiedy rozmaitych najdalszych nawet powinowatych, sprzeciwia się na

każdym kroku dotkliwie mimowolnemu u każdego człowieka pragnieniu zachowania majątku dla najbliższych. A konflikt ten, tem silniejszy, im większe jest prywatne mienie mężczyzny, srowadza zmianę złączonego z matryarchalną rodziną systemu pokrewieństwa na nowy o wiele ściślej ograniczony system.

Widzimy zatem, że w zakresie stosunków domowych znika ta ortodoxom tak miła, wieczysta niezmiennosc i ustępuje miejsca żywej zmienności form i instytucji. Rodzina patryarchalna, ten od wieków niezmiennie lub z nieznaczniemi zmianami trwający ustrój nie istniał zawsze; przed nią panowała wręcz przeciwna organizacja rodzinnego życia, z której wyrósł zupełnie do naszego niepodobny porządek społeczny, zupełnie inna kultura. Historyczny zaś charakter pewnej instytucji, udowodniony na podstawie doświadczenia, przenosi się z przeszłości na przyszłość i upoważnia do usprawiedliwionego wniosku, że obecny stan rodziny, jak nie jest wieczny w przeszłości, tak i na przyszłość wieczny być nie może, że w ogóle dzisiejsza forma rodziny nie jest z natury swej nieśmiertelna i przyjdzie dzień, w którym ustąpi zupełnie innej a wyższej formie. Mówiąc to nie mam wcale zamiaru podpisywać twierdzeń utopistów, którzy odkrycie matryarchalnej rodziny uważają za argument, na podstawie, którego przepowiedzieć można proroczco bliską rewolucję w stosunkach domowego życia i zmartwychwstanie przed-

historycznej przewagi kobiet. Niepoprawni ci marzyciele są w błędzie. Ludzkość się nie powtarza a historia, która w mrocznych, tajemnych swych procesach jest mistrzynią nieuchronnych reprodukcji, nie powołuje nigdy do życia form już pogrzebanych, lecz co najwyżej odnawia je w wyższym i bardziej rozwiniętym stanie. Dlatego nie trzeba być wcale prorokiem by mózdz z zupełną pewnością twierdzić, że okres matryarchatu nigdy się już nie powtórzy, że tej formie ugrupowania familijnego nie przeznaczono zmartwychwstać. Ale równocześnie przepowiedzieć można, że dzisiejsza organizacya rodziny, która w sposób już nierozsądny uświęca despotyzm mężczyzny, ustąpić musi innej, lepszej i bardziej ludzkiej formie płciowego współżycia. Jako zupełna reakcyja przeciw matryarchalnemu ustrojowi skazuje patryarchat kobietę na ciągłą i zupełną zależność od męża i kapryśnych jego życzeń. W dawnych czasach objawiało się to brutalną i prawdziwą niewolą, ale i dziś mniej lub więcej może osłonięta panuje jeszcze ta niewola żony, szpecąc w pożałowania godny sposób małżeństwo i rodzinę. Setki razy mówiło się już o tem, że kobieta dziś jeszcze jest ciągle małoletnia; prawo przynajmniej stawia ją rzeczywiście na równi z małoletnimi i idyotami; nie może ona przedsiębrać żadnego ważniejszego kroku bez autoryzacyi męża, nie przysługuje jej prawo własności zarobionego własną pracą wynagrodzenia, nie ma żadnego wpływu na los,

wychowanie i majątek swych dzieci. Daremnie usiłują zaciekli obrońcy płci męskiej usprawiedliwić ten stan rzeczy rzekomą fizyczną intelektualną i moralną niższością kobiety. Niższość ta nie jest bowiem niezbitie udowodniona a krótko i dobitnie przeczy jej odkrycie matryarchalnego ustroju rodziny; wykazuje on wyraźnie, że kobieta, zanim ją zepsuło lekkomyślne wychowanie, zanim powszedność bezpożytecznej egzystencji wysssała jej siły, była w najwyższym stopniu uzdolniona do kierowania rodziną i społeczeństwem. Dlatego ci, którzy tak zawzięcie bronią przewagi męskiego rodu, mogliby zaniechać już ozdabiania sofistycznymi argumentami zrodzonego z zamarłych form społecznych i skazanego na zagładę ustroju rodziny. Rozsądniej, stosowniej i logiczniej będzie uznać niezdolność do życia przegniłej w swem wnętrzu instytucji i poprzeć pracę historyi, która z konieczności dąży do jej obalenia.

Do tego właśnie celu zmierza ten ruch kobiety, który dziś w najbardziej postępowych narodach święci swe tryumfy, a który, choć jak każda poczynająca się agitacja zeszpecony błędami i przesadą, posiada jednak — przyznać trzeba — szerokie podłoże prawdy w historycznej genezie instytucji rodzinnych i w szpetnym stanie dzisiejszych stosunków. Nie ulega wątpliwości, że potępienia godnym byłby feminizm, któryby dążył do przywrócenia naszym kobietom władzy

matryarchalnej t. j. do wskrzeszenia pierwotnej formy domowego pożycia. Ale o ile się tych pragnień wyrzeka i żąda jedynie równouprawnienia kobiety z mężczyzną w łonie rodziny i poza nią, to z całym zapalem staniemy w jego szeregach i ochoczo przykłaśniemy nowej propagandzie.

Już nawet prawodawstwo najbardziej postępowych narodów zbliża się z wzrastającą szybkością do tego nowego kulturnie wyższego prawa. Ustawa norwęgaska z dnia 29 lipca 1888, ustawa kantonu genewskiego z 11 listopada 1894 i duńska z 1 sierpnia 1899, ustawa Nowej Zelandyi i nowy kodeks niemiecki położyły koniec tej monstrualnej a powszechnie przez prawodawców uznanej niższości kobiety i przyznały jej prawo własności i używania plonów własnej pracy. Równocześnie budzi się we Francyi silny ruch zmierzający do wprowadzenia podobnej ustawy, a w wielu już cywilizowanych krajach rozwód udzielany zostaje nie tylko na podstawie winy żony, lecz również i winy męża i w ten sposób stwarza się równouprawnienie obu małżonków w tej niezmiernie ważnej kwestyi. Z drugiej strony organizuje i szerzy się agitacja przeciwko ustawie zakazującej stwierdzania ojcowstwa i na porządku dziennym ukazują się coraz to nowe wnioski przepisów prawnych, które służą do częściowego przynajmniej zrównania obu płci wobec prawa.

Zupełne jednak równouprawnienie kobiety

z mężczyzną będzie dopóty niemożliwe, dopóki istnieje zróżniczkowanie ekonomiczne, właściwe kapitalizmowi. Jak długo pozwalany i legalizowany jest systematyczny wyzysk jednej klasy przez drugą, tak długo jest też absolutnie nieunikniony wyzysk jednej płci przez drugą. Wyzysk ten istnieje w klasach pracujących, gdzie mąż zaprzęga żonę do pracy w polu lub fabryce i żąda by przyczyniała się zarobkiem do utrzymania rodziny z widocznym i pożałowania godnym zaniedbaniem obowiązków macierzyńskich. To bowiem jest, wyznać trzeba ze smutkiem, konieczna konsekwencya dzisiejszego wyzysku kobiet i nie ma smutniejszego socyalnego objawu, jak zawodowa praca kobiet, zwłaszcza matek, których siły zużyte być winny na spełnianie wysokiego a trudnego obowiązku wychowania i wykształcenia dzieci. I nie jest to zdaniem mojem przypadek, że język angielski, który w najpospolitszych swych wyrażeniach tyle kryje filozofii, używa jednego słowa (spinster) na oznaczenie dziewczyny i... prządki; oznacza on niejako, co prawdopodobnie w czasach pierwotnych, gdy wyraz ten powstał w istocie miało miejsce a co odpowiada pod każdym względem nienaruszalnym prawom natury, że tylko dojrzała, a niezamężna kobieta może swą pracę poświęcić produkcji.

Ale wyzysk kobiet istnieje, w innej wprowadzie formie i wśród klas bogatych, gdzie mąż

zbyt często pozwala sobie na zaszczytne wczasy kosztem posagu żony. Wszelka próba reformy na tem polu natrafi na nieprzewyciężony opór mężczyzn każdej klasy i każdego szczepu, ponieważ dla wszystkich, choć może dla każdego z innych motywów i w innym stopniu, zrównanie płci byłoby szkodliwem.

Nie potrzeba się wcale z tem kryć. Tak jak przewaga kobiet była naturalną konsekwencyą wspólnej własności, tak przewaga mężczyzn jest naturalnem następstwem własności kapitalistycznej i twierdzą tę zważyć będzie można wtedy dopiero, gdy powrócimy nie tyle do kolektywizmu, który jest dziś niemożliwy, jak raczej do takiej formy własności, by wszelki kapitalistyczny wyzysk stanowczo został usunięty. Innemi słowy, chcąc zburzyć monopol silniejszej płci, trzeba wprzód obalić system kapitalistycznej własności. Reforma domowego życia łączy się najściślej z reformą ekonomiczną; oto jeden jeszcze dowód, jeśli wogóle więcej dowodów potrzeba, na istnienie nierozzerwalnej nici, która wiąże każdą stronę społecznego wielościanu z warunkami bytu przeważającego, ekonomicznego czynnika.

Na tym krótkim zarysie przedmiotu, wymagającego innych zupełnie i głębszych studyów kończę te tygodniowe wykłady, w których pragnąłem dać choćby blade i ogólne pojęcie o tem, czem jest socyologia, do czego zmierza, czego

uczy. Nie łudzę się wcale. Wiem, że niestety każdy, kto się poświęca nowej umiejętności, choćby nawet miał szczęście uczyć się jej u nauczyciela, który bardziej niż ja dorósł do spełnienia tego trudnego zadania, dozna zrazu wrażenia, że socjologia wiele znacznych ma luk wiele poważnych niedokładności; nie wolno jednak tych braków przypisywać zbyt pośpiesznie nauce jako takiej, i w ten sposób osłabiać zbyt jej znaczenie i wartość intelektualną. Takie wniosko-
wanie zwalczać muszę wszelkimi siłami. O ile wiem na największych nawet planetach możemy przy pomocy teleskopu dostrzedz t. zw. przez astronomów zaciemnienia i plamy. Gdybyśmy się jednak do tajemniczych tych gwiazd zbliżyć, gdybyśmy się na nie dostać mogli, ujrzelibyśmy może, że to co się nam zdało być plamami, to w rzeczywistości romantyczne doliny, uśmiechnięte łąki złotem zasiane i otoczone wieńcem malowniczych gór i zielonych lasów. A może i owe plamy, które widzimy w socjologii stąd tylko pochodzą, że patrzymy na tę naukę zbyt jeszcze z oddali przez zupełnie niedostateczny teleskop duchowy a nie wniknęliśmy w święte jej tajemnice. Skoro zaś tylko wnikać w nie poczniemy, rozplyną się może powoli owe plamy w wspaniałą panoramę cennych i harmonijnie ułożonych prawd. Uwolnijmyż więc ducha od słabych zwątpień co budzą się na widok chwilowych przemijających trudności! Naprzód! z podwójnym zapalem

wstąpmy na stromą ścieżkę co wiedzie do tajemnicą osłoniętych praw! Naprzód, i choćby droga nasza przez czas jakiś wiodła przez pustynie, nad krwią zroszone przepaście, to przyjdzie jednak dzień, w którym ciemność się rozwieje, skały zajaśnieją i zewsząd ujrzymy zieloność i światło. W tym dniu otrzymamy bólem i trudem zasłużoną nagrodę, bo wstąpimy wreszcie w błogosławioną krainę prawdy.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa autora do wydania polskiego	1
Wykład pierwszy: Zadanie socyologii	7
» drugi: Socyologia na gruncie psychologicznym .	26
» trzeci: Socyologia na podstawie biologicznej . .	51
» czwarty: Ostatnia faza biologicznej socyologii .	71
» piąty: Socyologia na podstawie ekonomicznej . .	95
» szósty: Socyologia porównawcza	121
» siódmy: Socyologiczne badanie rodziny	138

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

D. E. FRIEDLEINA w KRAKOWIE

Wiliam Morris. Sztuka, jej troski i nadzieje. I. Sztuki niższe. Rok 1902. Format dużej ósemki, str. 59. Kor. 1.60.

J. Schiekopp. Gramatyka litewska początkowa, przełożona z niemieckiego i opracowana przez J. Januskiewicza i A. Maciejewskiego. Rok 1902. Format dużej ósemki, str. 104. Kor. 3.

F. K. Skobel. O skażeniu języka polskiego w dziennikach i innych pismach, osobliwie w Galicyi. Spostrzeżenia i uwagi. Poczet drugi. Rok 1874. Format dużej ósemki, str. 130. Kor. 1.60.

Poczet trzeci. Rok 1877. Format dużej ósemki str. 175 Kor. 2.

J. K. Steczkowski. Astronomia sposobem dla każdego dostępnym wyłożona. Z 80. drzeworytami, 1 tablicą i kartą gwiazd. Rok 1861. Format dużej ósemki, str. 608. Kor. 4.

Dr. Mściśław Wartenberg. Obrona metafizyki. Krytyczny wstęp do metafizyki. Rok 1902. Format dużej ósemki, str. 158. Kor. 3.

